



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Djabeł w literaturze przez Aleksandra Büchner. — Na Prowincji, powieść w dwóch częściach przez Elżę Orzeszkową. — Korespondencja z Madrytu. — (Wiersz). — Ustęp z pobytu w dolinie Grindelwald. — Przegląd muzyczny. — O ubiorach.

DJABEŁ W LITERATURZE

PRZEZ

Aleksandra Büchner.

(Dokończenie.)

Otóż więc w porządku chronologicznym, albo może lepiej powiem mitologicznym, wielkie czyny djabłów, w ich sprzeciwianiu się jawne i na wielką skalę zamiarom nieba. Najprzód spiszek, potem bunt; pokonani straceni do piekieł; dalej prowadzą się występne knowanie na łonie nowego stworzenia; później djabeł usiłuje udaremnić misję odkupienia z którą przybywa Zbawiciel; na koniec walczy przeciwko krzyżowcom zdobywającym grób święty.

Od owego czasu djabeł zmordowany — zawsze u poetów — wyrzeka się tego rodzaju walki a wchodzi w okres opozycji szczegółowej. Stara się uwodzić jednostki. Zobaczymy te nowe pomysły piekieł.

Jeden z najciekawszych typów djabła uwodziciela, zjawia się w Hiszpanii w *Czarnoksiężniku* Kalderona. Cyprian, bohater tego znakomitego *auto*, go-dzien otrzymać miano *Fausta hiszpańskiego*. Jednakże ten Faust południowiec, choć uczony i czarownik, nie naraża zbawienia swojej duszy dla zdobycia nauki i potęgi nadprzyrodzonej. Cyprian ma nieco natury Don Juana, chodzi mu o pozyskanie względów pewnej dziewczyny chrześcijańskiej, i w tym to celu wzywa on pomocy djabła. W tej okoliczności objawia się ogromna różnica między Hiszpanią XVII a Niemcami XVIII wieku. U hiszpańskiego poety bezpośrednie działanie łaski Bożej zbawia Cypriana, a nie owe długie skomplikowane i abstrakcyjne próby, po których dopiero Faust pozyskuje niebo. Szatan hiszpański wcale niepodobny do tej osobistości snującej się za filozofem niemieckim, pustej, cynicznej i szyderczej: tamto to djabeł *orthodoxus*, który naprzód wie że pokonany będzie. Nadto Kalderon, przez galanterję konieczną w każdym prawym hiszpanie, triumf zwycięstwa nie rozumowi i nauce pozostawia, jak Goethe, lecz składa go u stóp kobiety; dziewczyna chrześcijańska z ofiary staje się kapłanką. Zamiast zostać uwiedziona, Justyna sama uwodzi, to jest przekonywa i nawraca na swoją wiarę pogańskiego czarnoksiężnika, który z pomocą djabła chciał być panem jej osoby i zgubić jej duszę.

Z tem wszystkiem zbrodnicze zamiary Cypriana muszą być odputowane; ponosi on wraz z Justyną śmierć męczeńską za nową wiarę, i przez to zerwana umowa, którą był zawarł czarnoksiężnik z piekłem.

Tu więc dla poety djabeł staje się narzędziem łaski Bożej i nawet panegirystą Boga; w końcu sztuki ukazuje on się na skrzydlatym gadzie, wlatuje po nad ciałami ofiar, głosząc swoją przegraną i oznajmując, iż dusze Cypriana i Justyny już do przybytku błogosławionych wstąpiły.

O wiele wcześniej od Kalderona, poeta anglik i protestant, najznamienszy z poprzedników Szekspira, Marlowe, stworzył pierwszego *Fausta* dramatycznego.

Wszelako przedmiot ten jest własnością Niemiec, gdyż pewien filozof i czarownik nazwiskiem Faust, żył tam w samą rzecz w XVI wieku. Wkrótce po jego śmierci, książka popularna wydrukowana w 1588 roku uwieczniła pamięć jego; legenda owa przetłumaczona natychmiast w kilku obcych językach, przed końcem jeszcze stulecia doszła do rąk Marlow'a, który z niej wziął pobudkę do najlepszego ze swoich utworów. Najlepszego mówię, co do charakteru bohatera, bo ten wytrzyma porównanie z postacią scharakteryzowaną przez Goethego; lecz co się tyczy djabła, Mefisto Marlow'a wcale nie ciekawy. Płaczliwy i pokorny, wiele ma on podobieństwa z djabełm Kalderona, a niema w nim ani cienia tej różnej swobody na wpół dworskiej, na wpół cynicznej, w którą Goethe przybrał przyjaciela Fausta. *Mefostofilis* jak go nazywa Marlowe wzbudza niesmak, a djabelskie figle którymi sili się zabawić swego pana, są wierutnie głupie. Marlowe zrobił z tego djabła niby skrzynkę ze sztuczkami, czy sprężynkę z pomocą której wyskakuja cuda, i tę oddał na usługi Fausta przez ciąg trwania umowy, a którą zabierze na powrót skoro uderzy fatalna godzina. Jedyna wyższość jego nad djabełm Kalderona i Goethego, hiszpańskim i niemieckim, to że djabeł angielski na prawdę zostaje panem swojej ofiary, podczas gdy Cyprian i Faust Goethego kończą zbawieniem.

Mimo tej wygranej mam ochotę sądzić, iż djabeł gdyby mu dano do wyboru, wolałby przez miłość własną być Mefistem Goethego: bowiem niemiecki poeta wyprowadza go z roli służebnika, robiąc z niego niby *gentlemana* piekielnego. Krok to rzeczywiście niezwykły, aby w postaci szatana uosobić płochego i szyderczego ducha epoki sceptycyzmu i zużycia. Lecz czyż tylko jeden Goethe na ten krok się odważył? Nie zdaje mi się, sądzę owszem iż łatwo dowiedzieć, że on sam wsparł się na kulach *Asmodeusza* Lesage'a, i w ten miał zupełną słuszność.

Może to się wydać trochę dziwnem, i ja sam na wstępie przyznaję, że wielka różnica zachodzi w postępowaniu Mefista i Asmodeusza. Ten ostatni przejęty szczerą wdzięcznością dla studenta, za wydoby-

cie z butelki gdzie siedział uwięziony, bawi go objaśnieniem różnych tajemnic, a dopełnia tego z najzłotliwszą bezwzględnością, lecz potem nie zachciewa mu się wcale zabrać go z sobą do piekieł. Mefisto przeciwnie, przyczepia się do Fausta, aby go powoli odsunąć od nauki, od rozsądku, od wszelkiego dobra, i porwać duszę jego na własność w chwili śmierci. Pod tym względem oba djabyły są na przeciwnych sobie dwóch biegunach. Lecz to pominawszy, trzeba zwrócić uwagę na subtelność i epigramatyczny nastrój ich rozmów, na uszczypliwość dowcipu, na ich sarkazmy bezlitośnie ciskane na głupotę ludzką, pełną uroszczeń i niepoprawną, a wtenczas uwydatni się ściśle pokrewieństwo pomiędzy „karykaturą zrodzoną z połączeniem ognia z błotem“ jak Goethe nazywa Mefista, i *Djabełm pocziwcem* jak p. Villemain mianuje Asmodeusza.

Nadto strój i figura dopełniają podobieństwa. Przy oświeceniu XVIII wieku, nikną powoli z fikcji djabelskiej typy majestatyczne lub straszliwe. Szatan zbliża się do człowieka, zachowując wszakże pewną część dawniej brzydoty śmiesznie karykaturalnej. Ażeby się przekonać, iż Asmodeusz był pod tym względem prototypem Mefista, dosyć przypatrzeć się jego wizerunkowi przez Lesage'a skreślonemu.

„Mały ten potworek kulawy, — tak o nim mówi w pierwszym tomie romansu, — miał nogi koźle, twarz długą, spiczasty podbródek, cerę żółtą i czarniawą, nos bardzo spłaszczony; oczy wydawały się bardzo małe a podobne do dwóch rozżarzonych węgli; usta szerokie bez miary, a nad nimi wąsik rudym niby dwa haczyki, i wargi jak unikogo. Wdzięczny ten kupidyn na głowie miał rodzaj turbana czerwonego, podpiętego pękiem piór pawich i kogucich. Na szyi nosił szeroki kołnierz z żółtego płótna, a na nim narysowane różne wzory naszyjników i zausznice. Suknię miał krótką z białego atlasu, spiętą pargaminowym pasem pokrytym głoskami talizmanicznymi.... Niczem to wszystko obok płaszcza, którego tło stanowił także atlas biały. Na nim znajdowała się niezliczona mnogość figur nakreślonych tuszem chińskim, pędzlem tak wolnym i tak dobitnie wyrazistym, iż łatwo się było domyśleć że djabeł musiał się w to wmięszać.“

Czyliż w tym opisie nie znajdzie się pierwiastek stroju Mefista, jakim go widzieliśmy jeżeli nie w sztuce Gethego to w operze Gounoda? Tylko że nie wypadło ukazać na scenie djabła o kulach i karłowatego wzrostu; dla tego Goethe zrobił swojego długim i chudym „jak rękojeść u miotły“ a nogę kulejącą skrywa pod przyprawami łydkami, ponieważ, jak po-

wiada, ułomność takowa szkodziłaby mu u porządnym ludzi.

Ależ Mefisto daleko niebezpieczniejszy niżli Asmodeusz. Powabem płochego sceptycyzmu i fałszywej wiedzy stara się on usidlić człowieka, którego ludzkość tegoczesna śmiało może uznać swoim przedstawicielem: Faust bowiem, to uczony, myśliciel, dążący szczerze do dobra, do prawdy, a zrozpaczony tem tylko iż mu ciasno w granicach naszego ziemskiego pojęcia. W takim razie, wielkość człowieka podnosi djabła, i Mefisto pozornie tak lichy, w porównaniu z majestatycznymi lub straszliwymi szatanami, których przegląd ukończyliśmy przed chwilą, przewyższa ich wszystkich doniosłością filozoficzną. Niechże on siebie własnymi określi słowy:

„Ja jestem, mówi on, częścią części, która niegdyś stanowiła wszystko; częścią nocy z której się zrodziło światło. Teraz to niegodziwe światło wydiera swojej rodzicielce dawne jej stanowisko, panowanie w przestrzeni. Ja jestem częścią tej siły, która pragnąc zawsze złego, jest sprawczynią dobrego... Ja jestem duchem absolutnego przeczenia.“

Ukazując swego djabła jako wyrozumowanego antagonistę Boga, Goethe wielki szperacz Biblii, przypomniał sobie oczywiście owego anioła ducha sprzeczności, który w historii Joba robi, że tak powiem, zakład z Panem, a stawką zakładu jest dusza człowieka. Mefisto mający wstęp do nieba i od czasu do czasu chętnie tam widziany, wchodzi także w podobnego rodzaju zakład, prosząc pokornie Wszechmocnego o pozwolenie doprowadzenia powolutku filozofa do zguby. Bóg przystaje na to, bo człowiek idąc na przód może się zbłąkać. Jednakże, dodaje Pan, w końcu ty zostaniesz zawstydzony, będziesz musiał przyznać, iż instynkt dobrego nie może być wydartym z serca uczciwego człowieka. I w istocie pomimo wielu błędów, Faust będzie zbawionym, albowiem djabła, ten zaciekle duch przeczenia, nie zdołał go oderwać od rozsądku i nauki, które, jak sam wyznaje, są najpotężniejszą siłą człowieka.

W Fauście, odwieczna walka dobrego ze złem, którąśmy widzieli staczaną w rozmiarach ogromnej wielkości i w najwyższych sferach, przeniosła się na pole ducha i serca pojedynczego człowieka. Lecz w tym człowieku ludzkość cała zwycięża złe siły myśli, i zapatrując się z tego punktu, uznamy iż djabła Goethego nie ustępuje pierwszeństwa żadnemu ze swych zbyt licznych współbraci. On jeden tylko przedstawionym jest jako ogniwo w łańcuchu przyczyn ostatecznych.

Przy wyliczaniu i gatunkowaniu djabłów, nad którymi mieliśmy się zastanowić, wspominałem iż najpóźniejszy z nich, Lucyfer lorda Byrona, stoi w pośredku między dwoma typami: zbuntowanego przeciwnika i zwodziciela intrygującego. Jego więc na końcu zbadamy.

W najszczególniejszym ze swoich dramatycznych poematów, w misterji *Kain*, poeta angielski przypisuje djabłu winę pierwszego bratobójstwa. Kuszenie Kaina przez Lucyfera jest treścią tego wspaniałego utworu.

W początku sztuki, już zaród złego wkorzenił się w serce Kaina. Pierwotny ten myśliciel nie może pojąć, dla czego grzech przez rodziców spełniony, jego od raju ma odtrącać, nadto ciężkie rolnicze prace nie smakują mu wcale, w końcu, niecierpliwi go tani koszt nabyta szczęśliwość jego brata, miłego i łagodnego Abła. A gdy się zacieka w badaniach zjawisk natury, w nadziei iż potrafi z nich wydobyć tajemnice stworzenia, Kain spostrzega zbliżającego się ku sobie anioła wcale od tych różnego, do widoku których jest przyzwyczajonym; piękniejszy on i potężniejszy od innych, lecz niby utracił jakąś stronę swojej piękności, jak gdyby zgryzota stała się warunkiem jego nieśmiertelności. Lucyfer, nie trudno bowiem odgadnąć iż to był on, przedstawia się zuchwale jako wieczny przeciwnik Boga, któremu pragnie wydrzeć wszechwładztwo nad światem: to Ahriman występujący przeciw Ormuzdowi.

„Wszystko wielbi Stwórcę, powiada on, z wyjątkiem mnie jednego. Ja walczę przeciw niemu, tak samo jak niegdyś w niebie z nim bój stoczyłem. Bójowanie nasze skończy się tylko zagubą jednego z nas dwóch; lecz czyż podobna zniszczyć nieśmiertelność wzajemnej nienawiści naszej? On, zwycięzca, nazywa mnie złym, lecz gdzież owo dobre które nam daje?“

Podobnego rodzaju mowy i cały szereg objawień filozoficznych i kosmogonicznych udzielonych przez Lucyfera, rozjątrzają coraz mocniej Kaina i w końcu przywodzą do spełnienia pierwszego morderstwa.

Zważywszy, iż lord Byron stworzył swego djabła później niż wszyscy wielcy poeci przed chwilą tu przytoczeni, przyznać potrzeba, iż ten wprowadzając w przedmiot już zużyty nowy żywioł, to jest dualizm mytologii perskiej, dał dowody właściwej sobie potęgi, trafności i oryginalności.

W końcu zrobię uwagę, że i djabła na coś się przysada, zapatrując się nań ze stanowiska estetycznego. W rękach poetów zły duch staje się niewyczerpanym przedmiotem piękności literackich, i mojem zdaniem poezja nowoczesna jakkolwiek bogata i urozmaicona, nie równie dojmującego nie stworzyła, jak owa postać szalona, raz pełna grozy, to znów przedrzeźniająca. Dla tego to najpotężniejsi gieniusze uchwycili ten typ z upodobaniem, i całą siłą wyobraźni natężyli, by przezeń uwydatnić różnicę dobrego ze złem, piękna ze szkaradą. Oprócz poetycznego wdzięku tych fikcji, wielką one także stawiają prawdę moralną: iż człowiek poddany ciągłym próbom przez wpływ złego, winien potrafić, jak Faust, wyjść z nich zwycięsko z pomocą instynktu sumienia wiodącego do ideału Bóstwa.

NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Po odjeździe Aleksandra, Wincunia nie była już tak smutna i blada jak po pierwszej jego bytności, owszem ogarnęła ją jakaś gorączkowa wesołość. Biegała po pokoju upędzając się za kotkiem faworytem, porwała przechodzącą sługę i wykreśliła się z nią walca, odebrała kluczyki z rąk ciotki, pobiegła do spiżarni aby wydać jutrzejszą prowizję dla czeladzi, i wróciła do pokoju śpijąc i w podskokach. Ale nagle usiadła przy otwartym oknie, u-milkła, oparła czoło na dłoń i tak zamysliła się, że pani Niemeńska po odmówieniu długich pacierzy, musiała jej przypominać że pora już do snu się położyć. Zbudzona głosem ciotki powstała z wolna, poszła automatycznym krokiem do swojej sypialni, i znów długo, długo w noc światło błyskające w jej oknie, było jedyną oznaką życia w głęboko uspiętym dworze.

Przed obrazem Najświętszej panny Ostrobramskiej zawieszonym nad jej łóżkiem, Wincunia modliła się przez całą prawie krótką noc letnią a gorące i smutne musiały być jej modły, bo kiedy niekiedy łza spływała z jej oczu po zrumienionej i pochylonej pokornie twarzy.

Aleksander zaś nazajutrz po swój bytności w Niemence, następującą prowadził rozmowę ze swym służącym Pawłem pełniącym u niego obowiązki furmana i zarazem lokaja:

— Pawełku, czy wiesz o tem że w X. jest oranżeria hrabiny?

— Wiem panie, odpowiedział chłopak ustrojony w parodję liberji, za którą serdecznie gniewał się p. Jerzy, ale w którą Aleksander ubierał swego sługę.

— Oto więc masz pieniądze, siadaj na konia i leć co żywo do X. Pójdź tam do ogrodnika hrabiny i kup u niego bukiet z najpiękniejszych jakie tylko są kwiatów. Powinieneś być z powrotem przed dwunastą, a jak się dobrze sprawisz to dostaniesz na piwo.

Po chwili, Pawełek na pstrokatym fernalskim koniu jak strzała pokusował ze dworu. Ujrzał go tak pędzącego wracający z sianożęci p. Jerzy.

— Gdzie go licho tak pędzi? rzekł do siebie, a przystanawszy zawołał głośno:

— Hej! nie galopuj tak! zepsujesz konia!

— Panicz poszedł! odkrzyknął Pawełek nie zwalniając biegu, i popędził dalej.

Pan Jerzy wzruszył ramionami i zafrasowany wrócił do domu.

Tego samego dnia nad wieczór, Pawełek na tym samym pstrokatym koniu pędził ku Niemence. W ręku trzymał zdaleka od siebie coś starego

owiniętego w papier. Wjechał na dziedziniec dworku, zsiadł z konia i zbliżył się do ganku na którym stała Wincunia.

— Panicz z Adampola przysłał to panience, rzekł kłaniając się i oddając przedmiot owinięty w papier.

Wincunia zarumieniła się i zawahała. Chciała coś wyrzec, cofnęła się nawet o parę kroków, ale ciekawość, wzruszenie, radość, odbiły się na jej wyrazistej, ruchliwej twarzy i wyciągnęła po posyłkę drżącą trochę rękę. Rozwinęła papier i ujrzała śliczny koszyczek upleciony z farbowanej łyzy, a w nim bukiet pięknych oranżeryjnych kwiatów.

— Ach, mój Boże! jakież precudnie kwiaty! zawołała i wbiegła do pokoju wołając ciotki. Ale pani Niemeńska wyszła była z domu dla obejrzenia gospodarstwa, i Wincunia nie znalazła jej w pokojach wbiegła do swojej sypialni, postawiła kosz z kwiatami na stole i cała pogrążona w swem lubownictwie, przejęta rozkoszą widzenia rzadkich a pięknych roślin, poczęła wyjmować je z koszyczka i rozkładać na stole. Wspaniała kamelje pasowe i białe wzrok jej zachwyciły, heliotrop rozlewał delikatną woń po całym pokoju, drobne aksamitne bratki wypadały z jej drżących palców, osypywały piersi i czepiały się do rękawów. Nagle z pomiędzy dwóch kamelji wysunęła się i upadła na stół mała kartka białego papieru. Wincunia machinalnie prawie rzuciła na nią spojrzenie i wyczytała drobnemi literami wypisane wyrazy: „*Je vous aime.*“

Młoda dziewczyna nie umiała po francuzku; ale ten wyraz tak pospolity, tak często powtarzany wśród polskiej nawet mowy, zrozumiała. Odkroczyła od stołu, a w oczach jej zaćmić się musiało, bo oparła się plecami o ścianę i rękę przesunęła po czole. Po chwili pochwyliła kartkę i wpatrzyła się w wyraz czarowne, a jakby w nich zawierał się jakiś tajemniczy, niewidzialny płomień, twarz jej nabierała coraz gorętszej, szkarłatnej barwy, oczy mgliły się, promieniły i nagle wytrysnął z nich potok łez rzęsiстых.

Niejedną zapewne panna wykwiśnie wychowana i starannie nauczona wszelkich towarzyskich prawideł i konwenansów, poczułaby urazę na widok „s u-niętęj między kwiaty kartki młodzieńca, i krok je go poczytałaby za zuchwałą, nierozważną, nieledwie ironiczny. Ale Wincunia była dzieckiem wioski, prostem, naiwnem, czułym i żywym. Nigdy dotąd nie obrażała się na nikogo, i nie przychodziło jej nawet na myśl, aby za dobre lub złe słowo można się było rozgniewać.

Wyrazy nakreślone przez Aleksandra wstrząsnęły silnie wrażliwą jej naturą, rozbudziły i rozplamowały wszystkie pocucia, które w niej dotąd tlały, tały się i walczyły, a łzy płynące po jej twarzy nie były oznaką, obrazem lub żalu, ale wybuchem wezbranego serca, które tak biło, tak biło mocno, że aż się zlekka podnosiła różowa sukienka.

Czy kartka papieru umyślnie włożona była pomiędzy kwiaty, lub czy tam znalazła się wypadkiem? i dla czego Aleksander dla napisania wyrazów wprawiających w zachwyt serca użył obcego języka? Na te pytania mogłoby odpowiedzieć ten kto by widział młodego Snopińskiego przed kilku miesiącami w domu pani Karlicz. Światowa i wśród wiejskich nudów szukająca rozrywek kobieta, siedziała wówczas przy stole otoczonym kilku poufnymi jej osobami, między którymi był Aleksander. Na stole, przeznaczone do jakiejś gry towarzyskiej, leżały ołówki i ćwiartki papieru. Złotna wdówka ujęła niedbale ołówek i nakreśliła nim od niechcenia: „*Je vous aime.*“ Oczy jej utkwione były w ową chwilę w twarz Aleksandra. Młodzieniec zobaczył to, pochwylił kartkę, przeczytał, zrozumiał i nieznacznie dla wszystkich ale widzialnie dla pani domu wsunął do kieszeni ćwiartkę papieru. Kiedy posyłał kwiaty Wincuni, i napełniony niemi koszyczek własnej jego roboty stał już przed nim na stole, wyjął z archiwum różnych pamiątek kartkę pani Karlicz, i wiernie skopiowawszy wyrazy napisane przez nią na kawałku papieru, wsunął go pomiędzy dwie kamelje. Piszząc mówił do siebie:

— Topolski nie umie po francuzku, otóż Wincunia będzie myślała że ja umiem. A jest to przecie wyższość nie lada!

— A może i ona nie zrozumie? spytał siebie po chwili.

— Taki prosty wyraz! musi go zrozumieć, a jeśli nie zrozumie przeczuje co on znaczy!

Tak się i stało. Wincunia wpół zrozumiała, wpół przeczuła znaczenie czarownego wyrazu, i ochłonawszy nieco ze wzruszenia włożyła kartkę do jedwabnego woreczka, w którym nosiła na szyi szkaplerz i święcony medalik. Chciała zrazu ją podrzeć, ale gdy palce jej dotykały się w tym celu do papieru, usta szeptały: niemogę! i powiedziawszy sobie w końcu: „jutro ją spalę“ schowała kartkę razem ze świętościami.

Tego samego dnia Bolesław przyszedłszy do Niemenki, zobaczył stojący w bawialnym pokoju na stole kosz z kwiatami.

— Jakież ładne kwiaty! rzekł, z kąd pani je ma panno Wincunio?

Wincunia patrzyła przez okno i nie słyszała czy udało się nie słyszy zapytania. Pani Niemeńska odrzekła za nią:

— To pan Snopiński przysłał dziś dla Wincunio, ale wystaw pan sobie, posłaniec mówił że ten koszyczek jest własnej roboty pana Aleksandra.

Bolesław uśmiechnął się. W uśmiechu tym nie było ani podejrzenia, ani zazdrości. Sam prawy i prosty obyczaj, nie przypuszczał znać w nikim wstecznych myśli i podstępnych zamiarów, a uważał za bardzo naturalne, że każdy kto poznał jego narzeczoną lubił ją i przysłużyć się jej pragnął. On sam gotów był oddać życie w jej obronie i dla jej dobra najcięższe spełnić pracę, jakżeby więc mógł się dziwić że ktoś ofiarował jej kwiaty?

— Jaki to jednak zdolny chłopak z tego Snopińskiego, rzekł oglądając arcydzieło koszykarskiej sztuki; wrodzony spryt i pojętność malująca się na jego twarzy, a i do mechanicznych robót wyraźnie ma zdolności. Szkoda że to wszystko marnuje się w próżniaczem i bezcelnem życiu!

Wincunia nie słyszała ostatnich słów narzeczonego, bo gdy tylko zaczął mówić o Aleksandrze, prędko wyszła z pokoju, ale pani Niemeńska zaczęła bronić pięknego światowego, jak mówiła, młodzieńca z takim zapalem, że aż Bolesław zaśmiał się i rzekł:

— Uważam że pan Aleksander zyskał sobie wielką łaskę u pani.

— Bo też trudno widzieć podobnie ślicznego i miłego kawalera! odrzekła żywo staruszka.

— Zgoda więc, rzekł z uśmiechem Bolesław, już nigdy nie będę mówił źle o pani faworycie, chociaż Bogiem a prawdą, wiele mu zarzucić można, a więcej jeszcze rodzicom, którzy nim tak błędnie pokierowali!

Upłynęło znowu trzy tygodnie, a Aleksander nie przyjechał ni razu do Niemenki. Tak mu widać kazała wzięta ku pomocy strategia. Wincunia smutniała i mizerniała widocznie, niekiedy odzyskiwała jeszcze dawniejszą wesołość, ale były to krótkie chwile, ciągle zaś albo siadywała w swoim pokoju milcząca i blada, z robótką w rękę, więcej dumając niż szyjąc, albo wynajdywała sobie jakie ruchliwe gospodarskie zajęcie i pogrążała się w niem z gorączkową pilnością, niby chcąc zapomnieć o myśli nurtującej jej głowę i trującej spokojność.

Tymczasem po wsiach pełnem życiem wrzały gospodarskie prace. Czerwiec miał się ku końcowi, śpiew słowików cichł po gajach. Za to na łąkach wesoło dzwigały żelaza kosarzy ścinające bujnie porośłą trawę, po zagonach rozsiadały się gwarne gromady kobiet pielących len i pszenicę, plugi gęsto przesuwwały się po łąkach orząc ziemię pod zasiew jesienny, bo żyto wypływało już w kłosa i rolnik tuż tuż przed sobą widział chwilę, w której po zdjęciu zboża nową siebie rozpocząć będzie pora.

Bolesław był bardzo zajęty. Gospodarował w Topolinie i Niemencie, a oba folwarki lubo niewielkie, były tak dostateczne i postępowo zagospodarzone, że w letniej mianowicie porze wymagały tyle niemal trudu i zachodów, ile ich wymagają obszerne ale opieszale i wedle stariej rutyny urządzone dobra. Od wczesnego ranka na koniu, Bolesław przebiegał pola i łąki, witał pracujących ludzi starem pozdrowieniem: pomagaj Boże! a oni odpowiadali mu wesołym chórem: dziękujemy panoczku! a gdy wydawszy rozporządzenia i przejrawszy roboty odjeżdżał, oglądali się za nim życzliwie i pilnie brali się do pracy, bo lubili łagodnego choć sprawiedliwego gospodarza i wiedzieli że odbiorą od niego rzetelną i rychłą zapłatę.

Każdego wieczora około zachodu słońca dziedziniec Topoliński roił się ludźmi, brzmiał gwarem, turkotem i ruchem. Parokonne wozy naładowane

sianem wjeżdżały przez bramę, w podwórze, gromady kosarzy stawały przed gankiem domu, a nad ich głowami brzęczały ostre kosy; wieśniaczki w czerwonych chustach na głowach lub z polnemi makami we włosach nadchodziły tuż za kosarzami, gwarem rozmów i donośnych śmiechów głaszcząc rozmowę męczyzn; przy studni piło wodę z koryta nie wielkie stado rasyowego bydła, żóraw z wielkiem wiadrzem pochylał się co chwilę i podnosił się znowu wysoko z przeciągłym skrzypieniem; za dworem na bliskim pastwisku rżały pasące się konie, a ryk bydła odpowiadał im z dziedzińca. Wszystko to ogarnięte było świeżą i silną wonią siana, a wysoko na wyniosłej lipie wyglądającej nad stodołę, stał na jednej nodze bocian i klekotał co siły ku bocianicy, która u stóp jego siedząc w gnieździe, kładła pokarm w dzióbki małych wysuwających się z pomiędzy zębów brzozy podtrzymującej gniazdo.

Wtedy i Bolesław wracał z pola, oddawał wierzchowca służącemu i siadał na ganku, a w koło niego zbierali się robotnicy i robotnice. Do dźwięku kos dołączał się po chwili dźwięk drobnej monety, rzetelny gospodarz wypłacał każdemu należny mu za pracę pieniądź, rozprawiał z kosarzami o pogodzie i zbiorach, wypytał kobiety o dzieci ich i gospodarstwo, dawał jednym rady, innym napomnienia, umawiał się o cenę jutrzejszej pracy, naznaczał każdemu miejsce i robotę, a gdy już wszystko było skończone mówił uprzejmie: teraz dzieci, idźcie z Bogiem, dobranoc wam! Wtedy dziedziniec rozbrzmiewał gwarem pozdrowieniem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! i chłopci pokłoniwszy się przed gospodarzem, rozchodzili się powoli wkrótce, z oddali tylko dochodziły odgłosy ich rozmów, albo w cichem powietrzu zabrzmiąta przeciągła pieśń ludowa, jękiem niby unosiła się przez chwilę nad ziemią i milkła stłumiona z innej kędyś strony odzywającym się rozgłosnym chichotem. Echa polne porywały, i żałosną nutę pieśni i wesołą gamę śmiechu — wiązały je w odgłos z radości i smutku spleciony, niosły go po polach aż odbiły się o ścianę gaju i konały nad strzechą Topolińskiego dworku.

Bolesław siedział na ganku znużony całodzienną pracą, ale z twarzą pogodną i okiem spokojnie spoglądającym na ten świat Boży, którego uciechy i zadania tak dobrze rozumiał i spełniał. Coraz uroczystsza cisza obejmowała dworek: za bramą po polach rozkładały się mgły przejrzyste i białe jak jeziora, w głębi gaju odzywał się niewyraźny szelest niby pierwsze same marzenie usypiających w łonie jego istot, a gwiazdy jedna po drugiej występowały na coraz ciemniejszym sklepieniu nieba, niby złociste duchy wywyżające siebie z innych światów, dla przyświecania nocną pomroką ogarniętej ziemi.

I cicho było w wiejskiej ustroni, jak gdyby ją anioł otulił skrzydłami i oddzielił od gwarów i zamętów świata, jak gdyby sam Bóg położył na niej błogosławiący palec i spokojem ozdobionym pięknością powlekł schronienie pracowitego człowieka.

Im głębsze cienie zsuwały się na ziemię, tem większa jasność spływała na oblicze Bolesława. Pogoda ducha znającego siebie i drogi swoje, spoczywała na jego czole, a w oczach przebiegających po szeroko bielejącej mgłami przestrzeni pół, była spokojna, przezroczysta myśl sprawiedliwego.

Po długiej chwili cichego rozmyślenia i modlitewnego niemal skupienia ducha, powstał Bolesław, i boczną furtką dziedzińca wszedłszy w gęstwinę gaju dążył do Niemenki. Znajdywał najczęściej Wincunię i panią Niemeńską siedzącą na ganku i oczekującą jego przybycia. Twarz dziewczyny jak biała róża jaśniała wśród zmroku otoczona spletem światłych warkoczy. Bolesław siadł przy narzeczonej i gwarzyli we troje o różnych codziennych sprawach i zajęciach. Minął już jednak czas w którym Wincunia była duszą, dowcipem, śmiechem i weselem takich pogodań. Teraz odzywały się rzadko, a jeśli zaśmiała się kiedy, śmiech jej drżał zawsze fałszywą jakąś nutą i nagle urywał się jakby stłumiony przykrą jakąś myślą lub uczuciem. Najczęściej po kilku minutach rozmowy z narzeczoną, opuszczała ganek i wkrótce z głębi domu odzywały się tony fortepianu, śpiewające pod jej palcami prosto ale dziwnie smutne pieśni. Wtedy Bolesław opuszczał też panią Niemeńską i szedł do narzeczonej, jakby go do niej nieprzeparta jakaś ciągnęła siła. W słabo oświetlonym małą lampą pokoju, stawał naprzeciw niej grającej i wypatrywał się w twarz dziewczyny, która codziennie bledszą była i zaczynała na-

bierać wyrazu przejmującej boleści. Niekiedy zbliżał się do niej, i biorąc jej ręce pytał z niepokojem:

— Wincunio, czego ty taka smutna i grasz tak smutno? Czego ty taka blada i zadumana?

Dziewczyna nie odpowiadała i siliła się na uśmiech, ale patrzyła na niego takimi dobrami i smętnymi zarazem oczami, że porywał ją w objęcie, całował jej lniane włosy i zapominał o wszystkim na świecie. Ona wyrwała się niekiedy z jego objęcia, i ze śmiechem w którym lzy drżały uciekała do ciotki. Czasem jednak, niby z przyzwyczajenia powziętego od dzieciństwa, opierała czoło na jego piersi i stała nieporuszona jak gdyby szukała u niego siły i obrony, jak gdyby na jego męskiej szlachetnej piersi, utulić i uspokoić chciała głowę swą, męczoną jakąś palącą niespokojną myślą.

W dzień widywali się rzadko. Czasem tylko Bolesław przebiegając konno około dworku Niemenki, zobaczył Wincunię chodzącą z kluczami po dziedzińcu, lub karmiącą swoje ptaki. Zatrzymywał wtedy konia przy ostrokołe i zdaleka przysłał jej — dzień dobry. Dawniej w podobnych razach dziewczyna podbiegała zawsze pod płot dziedzińca i rozmawiała kilka chwil z narzeczoną; teraz czyniła to bardzo rzadko, a najczęściej odpowiadała mu tylko skinieniem głowy i zniknęła między zielenią ogrodu. Bolesław ścigał wzrokiem różową sukienkę, dopóki mu całkiem nie zniknęła z oczów i odjeżdżał ale już wolniej niż wprzód, i smutek jakiś nieokreślony przesunął się po jego twarzy.

Smutek ten zaczął wreszcie coraz częściej na niej gościć, chwilami po czole jego przebiegały chmury niepokoju, jak posępne zwiastuny nieszczęścia. Zdało się że bladość, która pokrywała tak świeże niedawno lice jego narzeczonej, boleśnie raziła mu oczy, bo zachodziły one niekiedy mgłą wilgotną — często po powrocie z Niemenki całymi godzinami chodził po pokoju i mówił do siebie:

— Co jej jest! co jej jest! czy chora? czy jej czego brakuje!

Ani razu nie zapytał siebie.

— Może ona mię nie kocha?

Myśl ta daleką była od niego. Jak groźne widmo stała ona ukryta w kątku jego ustroni, ale dotknąć go nie śmiała jeszcze, powstrzymywana głęboką wiarą jaką długie lata spędzone z Wincunią wyrobiły w jego sercu.

On siebie i ją uważał za coś tak nierozłącznego, za coś tak ściśle spojenego mocą przyzwyczajenia, ofiar, wspomnień i nadziei, że nie powstało mu w myśli aby ktoś trzeci, ktoś obcy mógł stanąć między nimi i rozłączyć ich serca. Mógłże ktokolwiek ukochać ją tak jak on ją ukochał? Mógłże ktokolwiek otoczyć ją tak ojcowską, troskliwą energiczną opieką jaką on ją przez lat tyle otaczał? Czyliż nie on otworzył na świat oczy jej ducha? czyliż nie on skąpał jej piękne czoło w światłości wiedzy? Kapłan ją ochrzcił potokiem poświęconej wody a on zdrojem oświaty — on ją jak kwiat wypielęgnował, wypieścił ciepłem i światłem otoczył, i wzrastającą, rozkwitającą — pijącą poezją życia widział obok siebie. Ona była echem, które mu przynosiło wspomnienia lat młodzieńczych, gdy do Niemenki prowadził chwiejne kroki swego starego ojca, a ona drobna wówczas dziewczyna, wybiegała naprzeciw niego i zawiązała u jego szyi. Patrzac na nią witał pamięcią owe długie zimowe wieczory, w których przy świetle lampy młodziuchna dziewczeczka z rozpuszczonym srebrzystym warkoczem siedziała obok niego, a on przelewał w nią uczucia wiary i miłości, które w jego własnej gorzały piersi, i myśl jej zdumioną a zachwyconą prowadził od drobnego kwiatka i robaczka, aż do tych wielkich mężów olbrzymów, którzy wśród długiego ciągu dziejów ojczystych, jaśnieją niby gwiazdy nieśmiertelne. A potem jak z niego na nią przelała się oświata, tak z niej na niego tryśnał źródło miłości — męskiej, silnej, przenikającej wszystkie zakątki jego ducha i wszystkie fibry ciała. I stała się mu ona tęczą nadziei, która niby most kwiecisty usłać się miała między dotychczasowym jego istnieniem samotnika, a ową krainą rodzinnego życia, którą uważał za szczyt człowieczego szczęścia i obywatelskiej cnoty — z której wychylały się ku niemu i uśmiechały różane główki drobnych istot, co go zwać będą słodkim imieniem ojca i które on powiedział na szerokie drogi rozum i cnoty i nauczy składać życia i serca na ołtarze prawych czynów i wielkich miłości. I te wszystkie węzły, nadzieje, uczucie głębokie jak dno morskie,

co opłoty i spoity go z tą białą, jasnowłosą dziewczyną, miałyby pęknąć, rozwiać się i zostawić go wśród ruiny najdroższych marzeń życia, z piersią rozdartą i sercem w łzach zawodu skapanem? I to dziecię z piękną twarzą i takim przejrzystym łagodnym okiem, miałooby nie pojąć go, nie zważyć na szali przeczuć miłości jego z miłością jaką mógł jej dać kto inny? I miałooby ono odwrócić od niego swoje słodkie lice i wyciągnąć ręce do drugiego, do obcego nieznanego, który upodoba ją może jako igraszkę chwili — jako piękne cacko, a nie jak jedynę szczęście i najwyższą nadzieję życia? Nie, to być nie mogło, nie mogło być wedle praw boskich i ludzkich przypuszczeń, to się nawet myśli jego nigdy nie nasuwało! Długie i pełne niepokoju rozmyślania jego o narzeczoną, kończyły się zawsze przypuszczeniem że musi ona być chorą.

Nie mylił się; Wincunia była chorą na straszną, śmiertelną nieraz chorobę bezmyślnego, instynktowego pociągu, który graniczy blisko z namiętnością, a tem gwałtowniejszy bywa im w młodszej i bardziej dziewczęcym zamieszka sercu. Była ona chorą na tę hallucynację kobiecego serca, która w pięknej twarzy mężczyzny każe widzieć piękną duszę, precudne obrazy ukazuje tam gdzie są zwodne tylko miraż, szych pokrywa złocistym połyskiem i błyszczy nim jak złotem prawdziwym.

Dziewice młode, czyste a nieświadome życia i strasznych jego tajemnic! jeśli poczujecie na sobie palec tej strasnej choroby serca, wzywajcie co prędzej Boga na pomoc i zbrojcie się w cały zasób siły, woli i rozumu, aby odeprzeć potwór nieszczęścia. Bo to co zwiecie miłością a co instynktem, jest tylko i ślepą siłą natury, — to nieszczęście stokrotnie większe niekiedy niż śmierć, bo nieszczęście całego życia, długie konanie w męczarniach zawodu i rozczarowania.

Dopóki w pięknych oczach mężczyzny, z całą świadomością i zeznaniem rozumu pięknej nie wyczytacie duszy, nie mówcie: kocham! bo prędko bardzo, prędko potem zbladłe usta wasze wyszepczą cierpieć! Powabna postać i twarz młodzieńcza, nie dadzą wam spokoju, ani szczęścia ani siły na życie — jeśli serce mężczyzny z którym złączycie przyszłość będzie zimne, głowa pusta i ramię słabe. Kiedyś, kiedyś poznacie błąd swój i łzami wielkiego żalu opłaczecie zmarnowane swe istnienie, ale już będzie za późno. Wejście na jakąkolwiek drogę życia, łatwe ale odwrót trudny — niepodobny czasem, a ciężko bardzo ciężko za jedną chwilę szła — za krótką porę rozkosznych uniesień, długie lata przepędzać w żalu, samotności serca i myśli i beznadziejnej rozpacz. Myście o tem, dziewczice młode, i strzeżcie się choroby bezmyślnego instynktu, strzeżcie się uledek hallucynacji serca!

Bolesław mało znał kobiet w swym życiu, nie wczytał się we wrażliwą ich serce naturę, nie wiedział jakie tajemnice płomieni kryją się nieraz w piersi dziewczęcej, tak spokojnie oddychającej na pozór. Narzeczoną swoją uważał za anioła czystości uczuć i myśli, i takim była ona w istocie, ale nie wiedział także o tem, że najniebezpieczniejszy jest każdy zły popęd wtedy, gdy zjawi się u bardzo młodej i czystej istoty, bo nie znajduje punktu oporu ani w rozumie ani w doświadczeniu, i tłumiony czystością myśli roznieca się i wzmaga młodością serca.

Bolesław ani wiedział o istnieniu chorób takich, a zmianę dojrzaną w narzeczoną przypisując słabości fizycznej, przemysliwał nad tem dokąd się udać po lekarzy dla niej. Wszyscy których znał w okolicy, byli w jego rozumieniu za mało biegłymi, aby im mógł powierzyć swój skarb najdroższy. Gdybyż przynajmniej wiedział co jej było: czy bolała ją głowa tak pysznie zdobna w srebrzyste włosy? czy ból gnieździł się w tej piersi, w którą on pragnął przelać wszystkie rozkosze ziemi? Daremnie pytał, ona milczała, a tylko patrzyła na niego czasem tak łagodnie i smutnie razem, że serce drżało mu z obawy i żalu.

Nie zawsze jednak Wincunia była taką. Niekiedy odzyskiwała dawniejszą wesołość, nuciła, biegała i szczebiotała jak dawniej, a świeże rumieńce znowu na jej twarz wstępowały a chociaż były to krótkie tylko błyski, po których bladeła znowu i zapadała w dziwne jakieś zadumy, Bolesław jednak pocieszał się niemi ilekroć je ujrzał i uspokojony odchodził, mówiąc do siebie:

— Miłość moja dla niej przesadza pozory złego. To zapewne lekka słabość albo dziecinna zmiana humoru! To przejdzie prędko! O, gdyby już prędzej była ciągle przy mnie, wyleczyłbym ją szczęściem i miłością!

Po takiej myśli oddawał się pracy i znowu na czas jakiś stawał się spokojnym.

W pierwszych dniach Lipca, po długiej niebytności Aleksander znowu zawiązał do Niemenki. I tym razem Bolesław był nieobecny, bo wyjechał do powiatowego miasta, dla załatwienia jakichś spraw majątkowych. Aleksander dowiedział się o tem jego wydaleniu się z okolicy od swego Pawłka, i może umyślnie wybrał dzień ten dla widzenia się z Wincunią. Zapewne sądził, że w nieobecności narzeczonego serce dziewczyny bardziej jest bezbronne i łatwiej przyjmie w siebie wrażenia doznane. Może też szaraczkowy szlachcic, jak nazywał Topolskiego, imponował mu swoją powagą i rozumem, a tem sprawiał przykrość jemu, przywyktemu do królowania mocą swą piękną twarzą i zgrabną postać wspomaganej wielką dozą śmiałości. Bądź co bądź, Aleksander przybył do Niemenki wtedy, gdy był pewny że Topolskiego tam nie spotka.

Tym razem jednak nie był tak wesołym jak wprzód, owszem, oblókł się cały w wymowną melancholię, mówił o cierpieniach życia, o tęsknocie, o śmierci, westchnął kilka razy siedząc obok Wincuni, w końcu powiedział, że zamierza wkrótce na zawsze opuścić okolicę. Gdy to mówił, Wincunia stała na przeciw niego, a usłyszawszy jego słowa zbladła i oparła się ręką o poręcz krzesła.

Dojrzał bolesne wzruszenie jej młodzieńcze, i przy sposobności rzekł do niej z cicha:

— Muszę odjechać aby zapomnieć... pojadę w świat bo czuję że jeśli dłużej zostanę tu... blisko Niemenki... zginię i złamię sobie życie na zawsze!

Wincunia podniosła na niego wzrok zamglony wzruszeniem i dziwna rzecz! na twarz jego dojrzała prawdę. Młodzieniec zapalił się sam przyfajerwerku, który urządził na zapalenie serca dziewczyny. Czy zagorzał w nim ogień prawdziwej miłości, czy tylko błędny płomyk wrażenia? ani wiedział — ani pytał siebie o to — ani chciał pomyśleć przez chwilę co jedno a co drugie znaczy. Opuścił Niemenkę silnie wzruszony; po powrocie do domu długo chodził po swoim pokoju, a przed oczami wciąż mu migotała twarz Wincuni. Stał i trzy razy powtórzył prawie głośno:

— Kocham! kocham! kocham! śliczna, czarująca zachwycająca dziewczyna!

Potem podniósł rękę z tryumfującym gestem i zawołał:

— O, ale i ona mną zajęła! jeszcze trochę a Topolskiemu da harbuza!... cha, cha, cha! Chodził znowu i znowu stanął.

— Ba! rzekł, ale co będzie potem? i co z tego wszystkiego będzie!

Kręcił jasny wąsik i zamysłonemi oczami patrzył w przestrzeń

— Bałamucić ją tak długo przecież nie mogę, a porzucić... szkoda, słowo daję! najpiękniejszą dziewczyną jaką kiedy widziałem! Zresztą nie jestem zupełnie pewny czy mnie kocha, a jakbym się usunął, Topolski wzięłby ją jak swoją. O, co na to, to za nic nie pozwolę! Ale jakże zrobić? At, ożenię się i koniec, *vogue la galère!*

Ostatnie słowa były znowu korzyścią odniesioną z częstego przedstawiania z panią Karlicz. Powabna wdówka miała wyczałaj wymawiać je w chwili puszczenia się na płytkie wody swoich motylkowych miłości. Aleksander podchwycił te francuskie wyrazy i spytał coby znaczyły. „Niech co chce będzie a dogodzę mojej fantazji“ wytłumaczyła czarnooka pani.

— Ożenić się? powtarzał Aleksander, a złota swoboda? miłe kawalerskie życie? Takim jeszcze młody!.. no, ale jakże inaczej zrobić? Wincunia śliczna, i Topolskiemu ją nie dam! słowo daję — nie dam!

Po długim jeszcze rozmyślanu i chodzeniu po pokoju, Aleksander zbliżył się do stolika, na którym nieustannie stała butelka z ulubionym mu rodzajem wina, podniósł rękę w górę, klasnął palcami i rzekł z determinacją:

— Ożenię się!

Następnie jednym haustem wychylił kielich, zgasił świecę i usnął jak zabity. (d. c. n.)

KOESPONDENCJA Z MADRYTU.

przez Gor....

Zanim przystąpię do obszerniejszych sprawozdań z rozwoju literatury i nauki w Hiszpanji, pozwólcie że wam cokolwiek powiem o jej wewnętrznym stanie, zwłaszcza że półwysp Pirenejski cudzoziemcom równie mało jest znanym jak Słowiańszczyzna. Podnosimy nieraz ramiona z oburzeniem nad nieznaną wewnętrznym ustroju Słowiańszczyzny, przez psarzy cudzoziemskich, zajmujących się jej sprawami: to samo robią hiszpanie czytając głoszone o sobie wiadomości.

Nic trudniejszego jak dać dokładną charakterystykę hiszpańskiego ludu. Rozbity niegdyś pomiędzy dwanaście oddzielnych królestw, wyrobił w sobie pewne odrębności, z zachowaniem śladów pobytu Rzymian, Gotów, Wandalów i Arabów. Kastylijczyk też nie ma najmniejszego podobieństwa z Andaluzyjczykiem: Asturyjczyk inaczej wygląda jak Aragończyk, Baskowie zaś używają języka nie zrozumianego przez innych hiszpanów, jaki prawdopodobnie należy do mowy pierwsiastkowej używanej przez ludność w czasach najstarożytniejszych. Te różnice dziś jeszcze wybitne, niegdyś jeszcze większe miały znaczenie, skoro Rzymianie zajmując półwysp pod swe panowanie, prawa i przepisy zarządu wydali dla każdej prowincji oddzielnie, trwające później przez długie wieki, z wielkim każdą miejscowości pożytkiem. Zarówno jednak Bask jak Kastylijczyk i mieszkawiec Madrytu, mają się za hiszpanów, nie przypuszczając nawet, aby mimo szczególnego przywiązania do strony rodzinnej, mógł być który z nich za kogo innego uważany jak za hiszpana. Obok więc cech odrębnych różniących ich pomiędzy sobą, mają i wspólne tworzące z wszystkich jedną rodzinę, czasami niezgodną, zawsze jednak kochającą się i wzajemnie ratującą.

Ogólną tu cechą właściwą mieszkańcom wszystkich prowincji, jest mała chęć do pracy, a wielka do gawędy i rozmyślania. Przytem duma niepomiarowana, a raczej pycha tak przesiąka całą społeczność, że ją znajdzie zarówno w głowie najzamożniejszego domu, jak w ubogim żebraku z datków miłosierdzia utrzymującym życie. Ztąd bogaci do których liczy się książąt 66 — baronów 40 i margrabiów 419, nieчем się nie zajmują, tylko ucztami, zabawami, polowaniem i intrygami lub staraniem wciśnięcia się do wyższych urzędów albo służby dworskiej. Na jakim stopniu znajduje się przemysł i handel krajowy, jak się rozwija rolnictwo i oświata, mało to magnata hiszpańskiego obchodzi: wie tylko że jest panem, że może używać uciech świata, szukać wszelkich w nim przyjemności, żyć bez pracy, opłacać ludzi coby za niego myśleli i pracowali, i jaki mu służy tytuł *Granda* czy *titulados del Reino*, przechodzący na najstarszego syna. Niegdyś i majoraty były do niego przywiązane, ale te w obec małego rozwoju wewnętrznego, utrzymać się nie mogły. W Anglii brat ordynata zostaje piwowarem, fabrykantem, przemysłowcem lub nader umiętym rolnikiem: w Hiszpanji brat Granda, obwinęty w fałdy płaszcza, w kapeluszu z pióropuszem, dumał nad marnościami świata, przeklinając prawo co mu wydarło mienie. Dopóki do Hiszpanji należały: Meksyk z Teksasem i Kalifornią, cała środkowa Ameryka, Nowa Grenada, Venezuela, Bolivia, Peru, Chili i terytorjum Argentynskie, liczące razem 18,000,000 mieszkańców z rozległością 310,000 mil kwadratowych, młodzi synowie magnatów udawali się do osad i obejmowali tam urzędy, starając się je zrobić jak najzyskowniejszymi. Zoderwaniem się osad tych w czasie wojen Napoleona, gdy możność zajmowania tak korzystnych posad zniknęła, majoraty ostatecznie zwinęte zostały. Rzucono się więc w kraju własnym do dygnitarstw i urzędów ważniejszych, jacyśmi chętnie szafowano w chęci wzmocnienia władzy naczelnej: z tąd intrygi do ostateczności posunięte, częste zmiany ministrów i wprowadzenie zwyczaju przeciwnego prawu, zostawiania pensji przy dygnitarzu choćby zdegradowanym, choćby urząd swój dzień jeden sprawował. Jak ze zwyczaju tego starano się korzystać, najlepiej świadczy przegląd dawniejszego budżetu, w którym rząd tymczasowy znalazł kilkuset exministrów i innych dygnitarzy kosztem skarbu żywnych. Szlachta na wzór magnatów

ukształtowana, również zajęta jest utrzymaniem swej godności rodowej. Mało prawdziwie oświecona, przywiązana do swego położenia socialnego, przekłada biedę a często nędzę, ale nie weźmie się do żadnego zatrudnienia chlebobajnego, co by i jej i krajowi zapewniła korzyść. Ubogich też tych hi-dalgów wszędzie napotkać można: na początku bieżącego wieku liczono ich do miliona, dziś liczba ich znacznie jest mniejsza, ale zawsze przeszło pół miliona wynosi. Jakim to jest ciężarem dla kraju łatwo się domysleć, jeżeli zwrócimy uwagę na zupełną nieprodukcyjność tak znacznej części ludności, szczególnie do działalności obowiązanej.

Lud wiejski jest umiarkowany i trzeźwy, przestaje na małym, bo mało ma zamiłowania w pracy. Wygody nie jest wielkim zwolennikiem, mieszka ubogo, brudnie i niewygodnie, rolnictwem zajmuje się tyle tylko o ile musi, a do ulepszeń nie mając ani zachęty ani przykładu, uprawia ziemię według starego zwyczaju, poprzestając na cebuli, cygarze i chlebie pszennym, który liczy do szczególnych przysmaków. Mięsa nader rzadko używa, ale *siestę* czyli wypoczynek południowy, uważa za niezbędny warunek życia.

Najzdrowszą część ludności obejmują miasta. Tu się skupia cały przemysł, handel, oświata, słowem wszystko co wyrabia praca i usilność pod jej opieką rozwinięta. One to jedynie ratowały Hiszpanję od zupełnego upadku, i gdyby nie ich działalność, życie w całym kraju pomału możeby zupełnie by zamarło.

Oprócz tych cech charakterystycznych, hiszpanie wszyscy zalecają się pewną fantastycznością, uczuciem poetycznym i zamiłowaniem marzenia w rozmyślaniu. Tamburyno, gitarę, śpiew i kastaniety wszędzie spotykać można, zarówno w dworcu magnackim, jak w najuboższej lepiance. Przejeżdżając przez wioski hiszpańskie, przy każdym prawie domku dostrzega się siedzących włóścian zajętych rozmową lub rozmyślaniem. Grand, lub ubogi hi-dalgo marzy o dawniej wielkości Hiszpanji, pisząc negdyś mieczem prawa liczny narodom: lud o zbrojonych wyprawach w których przeważnie zajmował stanowisko. Z tad to wypływa pohopność do licznych wstrząśnień wewnętrznych, których w ubiegłym półwieku najmniej pięćdziesiąt naliżyć można, i w braku wojny zamiłowanie w bandytyzmie i kontrabandzie, z odziewaniem ich nawet pewnym urokiem poetycznym.

O przywiązaniu religijnem ludu hiszpańskiego, jako znanem powszechnie, niewiele co można powiedzieć. Jest on jednak więcej nabożnym, przywiązanym nałogowo do form jak pobożnym. W ducha chrystianizmu nie wniknął jeszcze. Wszyscy są jednak niezmiernie religijni, chociaż nauczyli się już oddzielać osoby od idei i widzieć w nich to czego dawniej nie widzieli. Pomimo jednak braku właściwej pobożności, obyczaje ludu są dobre, na pijaka rzadko niezmiernie natrafić można, ale za to duma nie opuszcza żadnego hiszpana, w największej nędzy jeszcze umie się pewną otoczyć godnością, a żebrak nigdy równego sobie żebraka nie nazwie inaczej tylko *caballero*, to jest rycerzu albo kawalerze.

Dotąd jeszcze wszyscy Baskowie i Asturyjczycy mają się za szlachtę: dawniej każdego z nich tytułowano Don, teraz już wszyscy szlachcie czy nie szlachcie każe się Donem mianować. Wyższa więc szlachta pogardziła tym tytułem, i dziś każe się tytułować, *grandesa* excelencją.

Ta jednak duma weszła w części w przysłowie, stanowi ważny pierwiastek w charakterze narodu hiszpańskiego. Jest ona zwykle śmieszna czasem wstrętna, ale utrzymuje moralne przymioty człowieka na pewnym wyższym stanowisku, skłaniając go do czynów często wzniosłych choć niewyrozkumowanych, jakby instyktowo przeczułych. Miarkowana wyższą oświatą, przemienia się w strażnicę godności osobistej, która wiedzie zawsze do dobrego, bo do wydobycia wszystkich sił posiadanych na korzyść własną i społeczną. Hiszpanie dziś w ogólności są tylko dumnymi, ale dumy tej zasób rozlany w całej ludności, staje się jakby pokładem żywej roli, z której od czasu do czasu wytryskują jednostki dla sławy całego narodu. Wszystkie też oczy zwracają się ku nim, bo szacunkiem własnej godności odziani, dają życie czynom zgodnym z potrzebą i dobrem ogółu. Gdy oświata zaczyna się wciskać we wszystkie warstwy społeczne w Hiszpanji, po-

myślność szerokim strumieniem rozleje się na cały naród. Duma dzisiejsza zamieniona w uczucie własnej godności, miliony rąk bezczynnych przykuje do pracy dziś zaniedbanej: — wzrośnie przemysł, handel, rzemiosła, oświata, bo ta sama godność nie dałaby hiszpanom i chwili spokojności, gdyby potęgi te widzieli u siebie o wiele niższymi jak u sąsiadów. Dotąd obojętni na to byli; ciemnica umysłowa i wewnętrzne niepokoje wszystko tamowały, ale czas zmienia wszystko, myśl wytrawiona ogniem klęsk i nieładu porządkuje się, podnosi i nawyka ciemność odróżniać od światła.

Powiadają, że lud hiszpański jest tak zacofany w pojęciach, iż o porządku społecznym i krytycznym na niego poglądzie nie ma najmniejszego wyobrażenia. Brak wszelkiej inicjatywy w tym kierunku, ma być wynikiem tej ospałości umysłowej. Są to za surowy: lud bowiem rolny w Hiszpanji obejmuje pięć siódme całej ludności, nie podobna więc przypuścić, aby we wszelkich wstrząśnieniach mógł pozostać biernym tylko lub zupełnie bezczynnym. Współudział swój może nie zbyt porywczo objawia, czasem może jest niechętny a częściej obojętny zamierzonym usiłowaniom, ale mimo to, co go bliżej dotyczy pojmuję dobrze, pragnie lepszej przyszłości a obecności nie nazywa stanem godnym zazdrości. Patrzy co się dzieje koło niego, rozważa usiłowania, ale potrząsa głową z niedowierzaniem, bo wie że wszystko w końcu spadnie na niego i zmiele się na jego karku. Reformy zaprowadzone obecnie pokazują jasno, że tak przeważną tu część ludności nie lekceważono, że znano dobrze jej potrzeby i wymagania, i że zadosyć im uczynienie nada krajowi możność spokojnego dalszego rozwoju. Nie zacofanie więc w zajęciach było powodem tej pozornej bierności, ale ostrożność jakiejś bezwarunkowo ganić nie można.

Zeszkicowawszy choć pobieżnie charakter narodu hiszpańskiego, przejdźmy teraz do jego wewnętrznych urządzeń i instytucji.

(d. n.)

Z HAJNEGO.

1.

WIOSNA.

Tęskne, poważne są sny wiosenki,
Ból, zda się każdym kwiatem porusza,
W tonach słowiczej nawet piosenki,
Tajemny smutek przeczuwa dusza.

Ust twych, o piękna! niestój uśmiechem,
Chociaż weselem uśmiech twój darzy —
O! zapłacz lepiej — lżę tę zpospiechem,
Niech pocałunkiem zdejmę z twój twarzy.

2.

CIESLA.

Na serce moje połóż rączki twoje,
Cytł w tej izdebce ciągle się stukoce,
Groźny to cieśla, co przez dnie i noce
Bduje ciężkie udręczenie moje.

On to tak stuka i on to w tej dobie,
Zbudził mnie ze snu swojemi łaskoty —
Spiesz majstrze cieślo! dalej do roboty,
Niech już mogę spocząć sobie!

3.

MİŁOŚĆ.

Kto po raz pierwszy kocha niewzajemnie
Własnego szczęścia jest wrogiem:
Lecz — po raz drugi, kto kocha daremnie,
O! ten jest głupim rariogiem!

I ja nim jestem — znowu niewzajemnie
Serce miłości otwieram —
Słońce i gwiazdy w krąg śmieją się ze mnie,
I ja ze śmiechu — umieram!

4.

SŁONECZKO!

Ten do swojej świętej woła,
Ten do swego apostoła,
A ja w każdej mej potrzebie,
Słońko moje, wzywam ciebie!

Daj mi uścisk, roskosz żywą,
Bądź mi dobrą, miłościwą,
Najpiękniejsza z słońc dziewczeczko,
Najpiękniejsze z dziew słoneczko!

J. Prusinowski.

USTĘP

Z POBYTU W DOLINIE GRINDELWALD.

Niejednokrotnie doświadczenie okazało, jak silne natura posiada środki przeciw chorobom człowieka, działając bezpośrednio na cały jego organizm. Niezwykle tam gdzie wszystkie zasoby apteczne nie nie dokażą, pobyt nad brzegami morza, lub oddychanie czystym i balsamicznym powietrzem górskim, oddziaływają zbawienne na stracone siły.

Czuąc nagłą potrzebę jakiejś orzeźwiającej umysł i ciało powietrznej kąpieli, by przyprowadzić do równowagi rozstrojone nerwy, tę istną plagę naszego pokolenia, dręczącą szczególnie mieszkańców miast wielkich, z przyjemnością odebrałam wiadomość od pewnej przyjaznej mi rodziny, odbywającej podróż po Szwajcarii, iż dla wytechnienia po trudach wędrówki, postanowiła zabawić przez parę tygodni w jednym z romantyczniejszych miejsc tej malowniczej krainy, i że wybór padł na dolinę Grindelwald, położoną w kantonie Bern, na południe jeziora Brienz.

Ta część Szwajcarii, tak zwana Oberland berneński, należy jak wiadomo do najpiękniejszych i najbardziej zwiedzanych. Tam najliczniejsze lodowce i masy wieczystych śniegów, najwydatniejsze wyniosłe cyple i ostre szczyty, najbardziej zdumiewające widoki.

Dolina Grindelwald niepoślednie trzyma miejsce przy wyliczaniu piękności Oberlandu, a oprócz powabów dla oka, warunki dla zdrowia są tam nader korzystne; — pisali mi moi przyjaciele. Od północy wierzchołki Fauthorn słońca ją od ostrych wiatrów, i na wyniosłościach swych zatrzymują śniegi; roślinność przepyszna; powietrze czyste i zdrowe; kiedy jesienią i zimą mgły gęste zalegają resztę Szwajcarii, tutaj słońce świeci w całej pełni swojego blasku. Słowem Grindelwald jest miejscem arcyzbawieniem dla ulżenia dolegliwościom nerwowym a inne choroby także tam prawie nieznane. Liczne te i tak znamienite korzyści, a w dodatku widoki gór czarujące i wspaniałe, zwabiają tu corocznie ogromne mnóstwo gości z różnych stron świata, i przez całe lato ludno tu, gwarno i wesoło, w dolinie, na górach i przy sąsiednich mineralnych źródłach.

Wszystkie te objaśnienia miały na celu zachęcenie mnie do szukania w temże samem miejscu ulgi na moje cierpienie, zwłaszcza gdy mnie jeszcze nęciła tam obecność miłych mi a dawno nie widzianych znajomych? Pokuszenie zbyt mocne! Nie namyslałam się długo, i w kilka dni po odebraniu tych wabiących doniesień, mogłam uściskać dobrych przyjaciół i sprawdzić własnymi oczami opisy i opowiadania o wspaniałych cudach natury.

We wszystkich dotychczasowych moich podróżach, zastanawiając się nad odniesionymi wrażeniami, uważałam iż poznanie najbardziej sławionych arcydzieł sztuki, oglądanie miast wielkich, oraz wspaniałych gmachów i pomników, pozostawiało w umyśle moim pewien stopień niezadowolenia, jakby gniewu na doznany zawód: wszystkich bowiem tych przedmiotów tkwiły w wyobraźni wizerunki daleko wspanialsze, piękniejsze. Przeciwnie wzniosłe lub uroczne przyrody obrazy, poją duszę zachwytem, cudniejszemi je widzę nad wszelkie sny i marzenia, tem bardziej, iż żaden pędzel, żadne pióro nie odmalowały ich godnie. I cóż dziwnego? czemuż jest nieudolna naśladownicza dłoń człowieka obok potężnej twórczej Boga ręki?

Od dnia przybycia do Grindelwald, przez cały ciąg pobytu w tej dolinie, korzystam z dnia każdego by w miłym towarzystwie przejrzeć wszystkie te bo-

gactwa piękności, które natura tak szczerze okolicę tę uposażyła. W którą stronę się zwrócę, widoki coraz to nowe, najrozmaitsze. Dolina dosyć wązka lecz długa na kilka mil, przerżnięta spływającym z lodów potokiem Lutochina, po niej rozrzucone wioseczki, szalety ocienione wiśnięwami drzewami nadzwyczajnego wzrostu, ciemna zieleń pastwisk, ogromne mnóstwo pasących się trzód bydła, kóz i owiec, tu i owdzie półko zasiane żytem lub jęczmieniem, grunt żyzny, roślinność nadzwyczaj bujna, — wszystko to stanowi obraz wdzięczny, uśmiechnięty, sielankowy i tem bardziej uroczy, iż okolony jest ramą surowej powagi lub grozy, gór olbrzymich, poszarpanych skał bioder, prostopadłych ścian granitowych, czarnych świerkowych lasów, obszarów lodowych pochylonych ku dolinie, błyskających wśród obłoków śnieżystych szczytów, a każdy z różnem obliczem. Widoki, piękności, coraz to odmienne wywołują wrażenia, w miarę punktu z jakiego na nie podróżny spogląda.

Wiele miejsc wydają się niedostępnymi dla stopy ludzkiej, a przecież mało jest takich gdzieby człowiek nie dotarł. Nie jeden zapalony kochanek przyrody lub nauki, drapiąc się na te olbrzymie wyżyny, ku szczytom tak ostrym że za ledwie się na nich spojrzenie zaczepi, naraża się na nieochybne niebezpieczeństwo śmierci na każdym niemal kroku, w otchłani śniegu pod lawinami, w rozpadlinach mórz lodowych. Pod kruchym dachem, który własną ręką musi zbudować, przepędza noce skostniały od zimna, wśród zamieci i rozdasanych wichrów świszających nad drżącym jego szaląsem. Trudy mu się wynagrodzą, gdy stanie na wazkim szczycie pod obłokami i ogarnie okiem niezmiernie przestrzenie. On tam król stworzenia, na tronie nadpowietrznym, świat korzy się pod jego stopami; on tam góruje ciałem i duchem, pomiędzy niebem a ziemią, wiąże swoje istnienie z nieskończonością.

Oprócz poetów, malarzy, umysłów chciwych wrażeń i szczytnych uniesień, których niewytłomaczony niepohamowany pociąg wabi niby czarem tajemniczym, oprócz miłośników nauki, którzy w niepostrzeżonej żądzy nabycia nowych skarbów dla wiedzy, nie baczą na najgroźniejsze niebezpieczeństwa, by śledzić zadziwiające tajniki natury, zbadać budowę i życie globu naszego, i wykryć tajemne węzły łączące różnorodne prawa stworzenia, — widzieć się zdarzy często i może części wędrowców, których wiele różne od tamtych pobudki wiodą na te bezdroża, i zdolne są natchnąć pogardą dla śmierci i niewypowiedzianych trudów. Pobudką takową jest czeza próżność, by o nich wieść dla potomności została, iż ten lub ów, z wymienieniem rozumie się nazwisk, tytułu i narodowości, doszedł pierwszy aż tak wysoko! Najliczniej a nieledwie wyłącznie turyści angielscy, a między temi niemały kobiet poczet, chciwi są zaznaczyć w dzienniku swoich podróży taki czyn bezowocnego heroizmu, i z najwyższą w sercu rozkoszą marzą o tem, że inni wędrowcy ze zdumieniem słuchać będą opowieści przewodników, z jaką to nieustraszoną zimną odwagą lord A, lady B, miss C, wdarli się na najwyższe szczyty.

W samą rzecz przewodnicy wiele ciekawych opowiadają przygód. Przy oglądaniu tych wszystkich uroczych lub dzikich scen natury, rozmowy z przewodnikami, z pasterzami i innymi tamecznymi mieszkańcami, nauczają więcej niż niejedna mądra księga. Co do mnie, słuchałam z niewypowiedzianem zajęciem ich opowiadań, a szczególnie gawęd ludowych, ich podań, ich bajek, zabobonów, przywiedzeń, szczątków tradycji mytologicznych, wszystkiego w czem się objawia myśl i poezja ludowa.

Mytologia alpejska ma właściwą sobie a uroczą cechę. Godnem jest zauważania, jak zadziwiająca różnorodność daje się dostrzegać w darach które ludzkość uposażona. Gdzie jej cokolwiek na zewnątrz zdaje się być odmówionem, tego dopełnienie wewnątrz w duchu człowieka znajduje się bezzawodnie. Badaniom w tym względzie obfitego dostarcza materiału, zastanawianie się nad pierwotnymi religiami ludów. U mieszkańców osadzonych w smutnej Północy, wśród lodów i skał nagich, wśród przyrody surowej i dzikiej, gdzie niebo szare, noce kilka miesięcy, wszystko posępne, bezbarwne. Tam wśród tej martwoty ze zdumieniem znajdujemy, jak wyobraźnia przedła podania mytologiczne pełne takich dziwów, cudów i uroków, takich blasków i skarbów, takich piękności jakich nigdy nie oglądało oko tych na zewnątrz wydziedziczonych dzieci, przez macochę naturę. Przeciwnie na Południu, u zepsutego pieszcz-

cha natury, rozkoszującego się wśród wszystkich jej czarów i przepychów, pod cudnem niebem, w krainie zalanéj potokami gorącego światła, owianéj balsamicznem powietrzem, zasypanéj do zbytku kwieciami i wszelakim strojem, obfitej w najróżnobarwniejsze olśniewające blaskiem kamienie i drogie kruszce, — tam podania nie mają nic uśmiechniętego ani poetycznego, nie zdołają ich uroczyste kształty i farby. I tak wszędzie: tego widzenie złożone w wyobraźni, czego oko na oko sobie nie znajduje. Na rozległych obszarach równin wyrastają olbrzymy; wśród niebotycznych granitowych lub lodowych gór, w obec których, zdobniały najpotężniejszy kolos, wylegają się karły i gnieździ się ich mnogość nieskończona po wszystkich skał szczelinach. W górach mieszkające Elfy i Elfyni, tudzież inne drobnutkie postacie żeńskie, (Wichtlein) tańczą przy świetle księżycy w pogodną noc wiosenną, a ich wesołość wrózbą lat żyznych; lecz gdy się smuć, jęczą i wdychają, to przepowiednia nieurodzaju lub innych klęsk, upadku skał albo lawin. Malutkie kobiecinki snują się w powłóczystych płaszczach, skrywających przed okiem śmiertelników ich drobne gęsie stopki. A znów górskie karzełki zabierają często znajomość z rodzinami pasterskimi. To się z nimi drażnią złośliwie, płatają im figle, psoty, to niespodziewanie z pomocą im przybywają, wyświadczają przeróżne usługi. Oni to pasą dzikie kozy żywiąc się ich mlekiem, a stroją się w kryształ górny. Nie lubią by ich czynności podglądano, a gdy się kto poważy chytrze nadużyć ich dobroduszości, temu bezkarnie zuchwałstwo takowe nie ujdzie. Najsroższym wymiarem zemsty bywa przekleństwo ziemi. Podobna kłątwa rzucona przez ducha, odrzuca skały ze szczytów gór i massami lodów pokrywa alpejskie błonie, które przedtem obficie żywiły liczne trzody. Podobnego rodzaju opowiadań źródła są niewyczerpane pomiędzy ludem, i nasłuchać się można do woli opowieści: to o biednym sierocie pastuszkę, co błądząc po skałach za zgubioną ukochaną owieczką, napotkał ducha gór, który go zaprowadził do kryształowego pałacu we wnętrzu skały, i w nagrodę za dobre serce i wierność w dopełnieniu swego obowiązku, dał mu za żonę najmłodszą ze swych córek, srebrnobiałą nimfę źródła i strumienia, która za małżonkiem wyszła na powierzchnię ziemi i żyje tam dotąd biegając srebrną falą po górach i dolinach, to o złośliwej małej Gaudi, co z czarnym pieskiem ukazując się pasterzowi na lodowych pustkach swego małżonka, wyżyny *Gaulberg*.

Na innej górze, śliczne nieziemskie dziewczę wabi miłością młodych górali; — lecz jeden z nich dojrzał był kiedyś pod krajem jej szaty cienkie kozie nogi, i odtąd urok jej stracił moc swoją. Mówią o skrzydlatym smoku, co za zerem wylatuje z niedostępnych pieczar, a przez otwór który on sobie dla wyjścia przebija, wybucha w ślad za nim dziki leśny potok, toczący w dolinę pnie drzew i kamienie. To znów opowiadają bardzo często o gnieźdzącym się w łonie ziemi potworze, zwanym przez miejscowych *Stollwurm*; ma on być podobnym do węża, gruby, niezbyt długi, z przednimi łapkami i łbem kocim, a u niektórych widziano narość na głowie w kształcie korony. Dziwna rzecz, iż wieść o podobnym niby wężu spotyka się także w najwysokojszych okolicach gór Jura, i tak zgodne są opisy tego bajecznego tworu, iż naturalisci nieledwie uwierzyli w istnienie jakiegoś nieznanego dotąd rodzaju olbrzymich jaszczurek, żyjących w górach i bardzo rzadko wypełzających z niedocieczonych kryjówek. Wszakże porzucić musieli to urojone niemiennie, gdy napróżno ofiarowali znaczną nagrodę takiemu, któryby zabitego lub żywego gada tego rodzaju dostarczył. Podobnież i w Karpatach lud wierzy w ukrywanie się ryby z łbem kocim w wodach Morskiego Oka.

Tak zapełnione są nadprzyrodzonymi fantastycznymi postaciami i potworami wszystkie zakątki doliny, każda góra i pieczara, parowy, kręte wąwozy między skałami, źródła, potoki i lasy.

A przytem pełno jest opowiadań o rzeczywistych wypadkach. Liczne są wspomnienia o wydarzonych nieszczęściach, których gróźba bezustannie zawieszona nad tamecznymi mieszkańcami, świadkami tylu pięknych lecz także i wielu niebezpiecznych widowisk natury.

Spadanie lawin sprawia zwykle najstraszniejsze klęski w dolinach i na stokach alpejskich. Jednakże w Grindelwald większa część ich nie są szkodliwe mieszkańcom, gdyż mają już swoje drogi, a w niektórych punktach bywają perjodyczne, o ty-

le regularnie że górale mogą przewidzieć chwilę ich przejścia. Tylko z góry *Burg* spadające ogromne zasypy śniegu, porobiły wiele zniszczenia w różnych czasach. Są o tem wspomnienia z epok bardzo dawnych, a jeszcze przed 60 laty zburzyły jedną noc dwa szalety z ich mieszkańcami.

Wielkie lawiny rzucają się z potęgą niepowstrzymaną, z piorunnym hukiem. W miejscach urwistych, gdzie śnieg nie łatwo się nagromadza, rzadko się trafiają, lecz za to częste i perjodyczne bywają na spadkach pochyłych i są dwójakiego rodzaju: ścisłe albo sypkie. Kiedy słońce i deszcze wywierają swoje działania na śnieżnych przestrzeniach rozciągających się pochyło na spadzistościach, a wynika z tąd woda przesiąkająca grunt rozgrzewa i robi go ślizkim, powoli warstwy tracą swoją spójność i równowagę w ciężeniu, zwierchnia staje się ruchomą, opuszcza się naturalnie z pochyłości, naciskiem spycha te co położone niżej obok niej, a tem się masa zwiększa, ruch coraz szybszy, całe przestwory pociągają się wzajemnie w upadku i staczają ze strasliwym hałasem, z szybkością zwiększającą się w miarę wielkości masy i pochyłości położenia, aż do dna dolin, zmiatając wszystko po drodze, druzgocząc skały i lasy. Takie są lawiny ścisłe, odrywające się od gór w odstępach czasu mniej więcej obrachowanych. Groźniejsze są lawiny sypkie, gdyż w każdej chwili mogą się zjawić, bez żadnych poprzednich znaków, najczęściej wszakże trafiają się w zimie lub na początku wiosny, gdy nowy skrupiony śnieg przypadnie na stwardniałą skorupę pierwszej warstwy. W ten czas najmniejsze wstrząśnienie daje im pochop. Wystrzał z broni palnej, przebiegnięcie dzikiej kozy, nawet strzepnięcie skrzydłem, ptaka w locie, w danej chwili mogą podnieść tumany powiewne. Powietrze odpychane wiruje i wznosi nowe śnieżyste kłęby. Powiedziałbyś że góra wybucha obłokami białymi, roziskrzonymi od słonecznego blasku, które burząc się jak poruszone fale, wylewają się gwałtownie i zatapiają wszystko na około z szybkością przerażającą. Biada lasom stojącym na drodze zawichrzonej wścieklej lawiny; stuletnie drzewa z trzaskiem się łamią, wichry wyją szamocze i rwie konary, a tuman przewala się dalej ku dołowi w olbrzymich podskokach. Wchodząc na *Mettenberg*, widzieć można cały obszar najeżony pniami: był tam las sosnowy, którego drzewa połamane zostały w połowie wysokości pod taką śnieżną nawałnicą. Zadziwiająca jest rzecz, iż uragan tak niepohamowany w pędzie, ma jednak tak ściśle określone granice swojej działalności, że po za ich obrębem tuż obok, ani listek nie drgnie na drzewach.

Gdy tedy masy śniegów tylko w pewnych punktach mają swoje drogi do spadania lawinami, reszta ich w inny sposób zostaje rozproszona. Najsilniejszym czynnikiem zniszczenia jest wiatr południowy, zwany przez miejscowych *Föhn*, jedno ze szczególniejszych zjawisk właściwych tej okolicy. Przybywa on zwykle do Grindelwald przez grzebień wyżyny *Wengeralp*. Za zbliżeniem się jego, obłoczki białe rozkudłane polatują po nad szczytami. Słońce niby pobladoło, zachodzi bezpromiennie, a przezroczystsza niż zwykle atmosfera zbliża przedmioty i fiolotową barwą dalsze obłoka góry. Długo po zapadnięciu za horyzont kuli słonecznej, niebo płomieni się purpurowym blaskiem. Wieczór ciepły, noc bez rosy, czasem tylko świeższy powiew przebiegnie, gwiazdy iskrzą żywiej. W lasach wyżej położonych jakieś głuche huczą szumy.

Niepokój ogólny całą ogarnia naturę, a zwierzęta, człowiek nawet czuje jakąś nieokreśloną trwogę przeciw której bezzilna moc woli. Potem obłoki idą ku sobie, łączą się, gęstnieją, kształtują w ścisłe bałwany po nad górami i osuwają się zwolna. Każdy szczyt strojny niby powiewną kitą z cienkiej koronki. Śnieg zmiatany z wierchołków, rozsuty po przed chmurami w długich smugach odbijających malowniczo na błękitnem tle nieba, pędzonych przez raptowne powiewy wiatru, tem gwałtowniejsze, im silniejsze śniegowe napotykają tumany. Cisza nastaje na chwilę. I zaraz znów jęczą świerki i modrzewie, obwieszczając iż prąd wiatru przeszedł w niższe warstwy atmosfery. Mówią, wtenczas iż *fohn* zstąpił. Złowrogie żałobne jego tony odzywają się na około domostw, wtenczas gaszą ognie i światła, drzwi wszędzie zamknięte, belki w powalach skrzypią pod naciskiem wichru, któremu częstokroć najpotężniejsze drzewa opręć się nie zdołają. Wszystko co tylko nie jest silnie do gruntu przytwierdzone, bywa uniesione, dachy szale-

tów i stodoł wirują i latają w powietrzu jakby liście jesienne. W Grindelwald *foehn* jest mniej częsty niż w innych miejscach, lecz objawia się z okropną gwałtownością, a najwyższej dochodzi potęgi po spadnięciu nowych śniegów. Wtenczas wir porwala śniegi w trąby straszliwocią, przechodzące wszelkie ludzkie wyobrażenia. I nic nie jest w stanie ochronić od dotkliwych skutków takiego zjawiska. Śnieg rozpryskany wichrem na najcieńszy proch, przenika najgęstsze tkanki, wciska się przez najciaśniejsze szpary mieszkań. W Oberlandzie jest osobne nazwisko na takie wiry: zowią je *gux*. Wiarygodnych świadków opisy przytaczają fakta nadzwyczajne ze skutków podobnych burz. Jedną z takich w Grindelwald, wyrwała całkiem kilka szaletów i zerwała przeszło 50 dachów. P. William Huber widział w dolinie rzeki Reuss u stóp Sgo. Gottarda, jak wicher przewrócił wozy naładowane ogromnymi ciężarami. W 1861 roku, 10 Maja, pod niezblaganem powiem *foehnu* pożar schłonał ze szczególnym miastem Glaris. Burze takie trwają rozmaicie długo, od dwóch godzin do trzech dni. Jednakże pomimo tych strasznych spustoszeń, górale witają *foehn* jako zwiastuna wiosny. W jednym dniu więcej on zabierze śniegu, niżby go słońce w przeciągu dwóch tygodni zniszczyło. Bez niego, ileż to gór spoczywałoby wiecznie pod zimnym całunem, nie znając wiosny ani uprawy. Dzięki jemu wychodzą trzody na paszę wcześniej, i lodowce tylko w wyższych gnieźdzą się sferach. Lecz i przy tym dobroczynnym na przyrodę wpływie, nie obejdzie się także bez szkód niejakich. Niektóre rośliny nie mogą wytrzymać bezkarnie jego powiewu. Buki i tataraka nie udają się wcale w miejscach wystawionych na jego działanie, kwiat jabłoni usycha. Wpływ ten szkodzi objawia się głównie na wiosnę, chociaż *foehn* wieje i w innych porach roku, lecz że jest zarazem gorący i suchy, działanie jego silniejszym jest w porze zimnej, im większa jest różnica pomiędzy stanem temperatury w górach, a przybywającym ciepłym prądem powietrza. Często także w lecie przechadza się *foehn* po najwyższych szczytach, obnaża je, nie zstępując w niższe cieplejsze już doliny.

(d. n.)

Przegląd muzyczny.

MUZYKA KOŚCIELNA.

Ojciec nasz! z muzyką Ig. Krzyżanowskiego (ton as) rozległość skali, as do des, na głos altowy lub basowy, trzymane w niskich tonach przeważnie. Słowa jak łatwo się domyśleć są pacierzem codziennym urobionym tylko w muzyczną formę, tak jak ją czuł i pisał kompozytor, który przeciwko stylowi kościoła niezgrzeszył. Kto ciekawy to niech pozna, a ręczymy że nie pożałuje ko. 37^{1/2}.

MUZYKA INSTRUMENTALNA POKOJOWA.

G. Roguski. Kwartet na instrumenta smyczkowe. wydany w Lipsku. Nie często można u nas spotkać się z pracą podobnego kroju, bo to mniej wdzięczne pole. Księgarz nie kupi, dla tego żeby nie wyszedł na swoje jak to się mówi, a publiczność nie liczącą żądania ku tego rodzaju pracom objawia, chociaż niby szczerzimy się wielką muzykalnością, niby śpiewamy, niby gramy z mniejszym lub większym powodzeniem, — ale jak przyjdzie złożyć większy komplet chórowy lub orkiestrowy, to dopiero trzeba dobrze dyktorowi nałamać sobie głowy, z kądem tu wziąć zdolnych odpowiednio, żeby przynajmniej połowa rzetelnie śpiewała i grała. Otóż polecamy nielicznym naszym kwartetom powyższą pracę młodego autora; niech wykonywanie jego, będzie całą zapłatą trudu.

MUZYKA SALONOWA.

Śpiew Salonowy. Jaskółeczka słowa W. Pola muzyka Moniuszki. (37^{1/2}) W tonie E, skala głosu umiarkowana od e do gis. Śpiew to miły, odpowiedni nawet dla głosów średnich zalet, towarzyszenie fortepianu nietrudne, choć z harmonją interesującą, jak to umie robić autor Halki. Praca ta poświęcona znakomitéj artystce H. Modrzejewskiej.

Dla czego? tegoż autora. (k. 30) Śliczna pieśń, z uczuciem wielkiem pisana, znać autorowi przypadły i słowa do myśli własnej, jako zalecające się wielką prostotą i prawdą. Pieśń ta rzetelna tak jak skarga ducha, którą człowiek czujący w życiu niejedną zdolny wyśpiewać. Mówiąc o technicznej stronie utworu, to rozległość oktawa od d do d jest każdemu wygodna, akompaniament zbliżony do zwykłego akordowania uwygodnia każdemu towarzyszenie.

Wł. Żeleński. op. 2. *Moja pieszczotka!* słowa Mickiewicza. (37^{1/2}) w tonie A, od cis do fis. Tegoż autora dawniej nieco wyszły „trzy pieśni“ op. 19. N. 1. *Młodo zeswatana* — słowa Zaleskiego N. 2. *Jaskółka* — Lenartowicza N. 3. *Żyzy* — tegoż. (45). — Wszystkie śpiewy tego autora, odznaczają się niezwykłą oryginalnością pomysłów melodii, odrębną fakturą, harmonją poprawną choć wyszukaną czasami. Wszystko gładko płynie i mile się gra i śpiewa, znać tu rękę mistrzowską po każdym zamachu pióra. Co do trudności zwykle niechętnie pokonywanych, to musimy powiedzieć o nich, że nie są wielkie, a lenie są i małe.

Fr. Szopen. *Sześć pieśni* przerobionych na śpiew i fortepian — słowa francuz. Ruelle, polskie Chęcińskiego. N. 1. *Nad kołyską* 2. *Na łące* 3. *Żal* 4. *Piosenka miłości* 5. *Powiatka* 6. *Cisza nocy*. Wszystkie te fragmenta wzięte z dzieł tegoż autora fortepianowych. Były to przedtem nokturna mazurki, a teraz dostały słowa mniej więcej charakteryzujące rzecz zawartą w melodii, chociaż autorowi co innego może było w głowie gdy to pisał; dość że prześliczne jego motywy, na śpiewy ułożono. Forma to niezwykła, wygląda jednak udatnie i nader pojętnie.

O UBIORACH

Korespondencja z Reichenhall

w Bawarii.

dnia 12 Sierpnia 1869 r.

Serwatka z wyborowego mleka, zaprawnego wonią ziół alpejskich, a do tego czyste powietrze Reichenhalskiej doliny, sprowadzają tu z każdym rokiem coraz to większą liczbę gości. W tym roku zwłaszcza Reichenhall pod względem elegancji, może śmiało iść w zawody ze sławnymi zakładami wód Nadrzańskich i Czeskich. W osobnej korespondencji, damy poznać szczegółowo to prawdziwie urocze miejsce, dziś opiszemy tylko pełne gustu ubrania tutejszych elegantek.

Ubranie u wód czy to na rano, czy na przechadzkę popołudniową, składa się zawsze ze spódniczki do ziemi i z tuniki lub paletocika; cała różnica zachodzi w tem, że na rano kostiumy bywają skromniejsze, najczęściej wełniane lub perkalikowe, na przechadzkę zaś z muslinu białego lub kolorowego, albo z lekkiej jedwabnej materji.

Dajemy naprzód opis kilku rannych kostiumów, jakie zwróciły szczególniej naszą uwagę.

Pierwszy kostium z alpigi koloru niewarowego. Spódniczka pierwsza zakończona szerokim ukośnym wolantem, nad nim plisa objęta z obu stron rulonikiem z zielonej materji. Z pod tej plisy spada na wolant nafałdowana falbanka, wązka na dwa palce. Spódniczka druga, obszyta takimże samym ale węższym wolantem, podpięta po bokach na rozety z alpigi, objęte wypustką zieloną. Stanik z karokiem objęty odpowiednią plisą, przepasany szarfą zieloną, dopełnia całości ubrania. Kapelusik do tego słomkowy, okrągły, przybrany długimi gałązkami bluszczu, spadającymi na warkocz.

Drugi kostium perkalikowy biały w rzucik z drobnych fijołków. Spódniczka pierwsza z trzema ćwierćłokciowymi falbankami, z odpasowanym odpowiednim szlaczkiem. Spódniczka druga, objęta samym szlaczkiem, podpięta po bokach wysoko, od podpięcia do pasa przechodzą także szlaczki. Paletocik bardzo krótki, objęty odpowiednio. Szarfa perkalikowa zakończona odpasowaniem. Kapelusik słomkowy przybrany fijołkami.

Trzeci kostium z wyrobu wełnianego z jedwabiem, w paski białe, czarne i fijołkowe. Pierwsza spódnica w szerokie pasy w tychże kolorach, gładka bez garnirunku. Druga spódnica w drobne prążki, zakończona plisą ukośną w pasy szerokie. Paletot śred-

niej długości, obciśnięty szarfą w szerokie pasy, objęty takąż plisą. Kapelusik czarny koronkowy okrągły, przybrany kitką fijołkową.

Czwarty kostium szary batystowy z szerokim zaprasowanym wolantem. Na to także sama tunika wygarniowana falbankami, przepasana szarfą z wstążki szkockiej, w kratę pasową, szafirową i zieloną. Rękawy rozstarte cokolwiek u ręki, zakończone szerokim wolantem. Kapelusik słomkowy, przybrany palmami, maczkami i bławatkami, oraz pęczkiem kłosów.

Z pomiędzy strojnieszszych kostiumów, zwrócił szczególniej uwagę naszą, bardzo ładny złożony ze spódniczki jedwabnej fijołkowej, z pięcioma wąziuchnymi falbankami. Na to szła przezroczysta spódniczka grenadinowa, koloru Hawanna, z takimże wolantem objętym fijołkową plisą. Tunika grenadinowa, ogarniowana falbanką, przepasana szarfą fijołkową dopełniała ubrania.

Inny podobny do tego kostium, składał się ze spódniczki zielonej z falbankami, i z tuniki popielatej grenadinowej przybranej zieloną materją.

Kostium bardzo ładny i oryginalny, złożony był ze spódniczki jasno fijołkowej, z cienkiego żaknetu, przybranej szerokim wolantem, a nad nim wązkiemi falbankami. Spódniczka ta miała stanik gładki i długie rękawy. Na wierzchu szła tunika biała półbatystowa, ze stanikiem otwartym, bez rękawów. Tunika zaokrąglona w rogach, ogarniowana była szeroką falbaną, z haftem angielskim, który dziś stanowi pierwszą nowość. Kapelusik do tego okrągły sparterowy, przystrojony piórkiem fijołkowym, ślicznie dopełniał całości ubrania.

Kostium z lekkiej tkaniny Sultanne, składał się ze spódniczki koloru Hawanna, z pięcioma falbankami. Z tych falbanek dwie środkowe były tegoż samego odcienia jak spódniczka, trzy zaś znacznie jaśniejsze. Wszystkie ogarniowane białym tiulikiem, naśladującym walansienkę. Baskina do tego z tkaniny jaśniejszej, ogarniowana ciemniejszą riuszką, zakończoną tiulikiem. Szarfa do tego ciemna spięta w tyle na wielką kokardę, obszyta tiulikiem. Dopełniał ubrania kapelusik illuzjowy biały, spięty na długie szarfy, przybrany djademem z różnokolorowych kwiatów, z przewagą koloru zielonego.

Na chłodniejsze poranki, uważaliśmy tuniki czarne kaszmirowe, na kolorowych spódniczkach w pasy lub w kraty. Tuniki te garnirują zwykle ukośną falbanką. Do wielu z nich dodają okrągłą pelerynę podpiętą w tyle. Tunika przepasana zwykle szarfą czarną, ze spadającymi na tył końcami.

Kolor bucików i rękawiczek, a niekiedy i parasolika, odpowiedni bywa do koloru kostiumu.

Na rano pod okrągłe kapelusze używane są zazwyczaj siatki z grubego jedwabiu, wielkie, pokrywające nie tylko warkocz ale i całą głowę. Noszą je najczęściej koloru włosów, niekiedy czarne lub nawet kolorowe.

S. D.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego.

Boki do tyłu z prostego brzegu 56. cent: długie, z skośnego 49. cent: wynoszące, w górze liczą 8—10 cent: u dołu 38. cent: szerokości. Każden bok do przodu, przypadający ukośnym brzegiem do ukośnego ściętego przedniego bryta, powinien być 50. cent: długości; z prostego brzegu który się zszywa z ukośnym brzegiem boku do tyłu, liczyć musi 49. cent: długości, w górze 8—10, u dołu 36 cent: szerokości. Podług tych wskazówek, cyrkiel karoczek jest doskonały. Co do przyszywania z tyłu zapinanego paska, nadmieniamy, że marszcząc daje się w tyle, z przodu zaś w taki sposób żeby się bardzo nieopinało. Podpięcie trzech fałdek na dwa guziki, wypada w środku boku do przodu.

N. 12. Ranny letniczek. (Negligé)

z magazynu P. Billand w Paryżu ulica św. Roch 32.

Ubranie to złożone z puszczonej bluzy, luźnej zarzutki i ozdobnego czepeczka, przez podwlekanie koronkowych wszywek kolorową wstążką i kokardami, nadzwyczaj strojnie wygląda. Dodawszy pasek z szarfą, kapelusik „Watteau“ ubranie przedstawia ładny kostiumek dla młodej osoby. Bluza krajana na formę „robe princesse“, ma na każdym szwie

2 1/2 cent: szeroką siatkową albo gipiurę w szwy, tak na szwach jak nad falbaną, podwlekaną wstążką lub naszytą rulonikiem atlasowym. Zarzutka odznacza się w tyle, znaną fałdą „à la Watteau”, i odpowiednim wykończeniem w przodach. Kolorowa spódnica na pod spód, w miejsce jedwabnej, tarlatanowa lub muslinowa, podwyższa efekt.

N. 13—15. Kapelusze słomkowe dzieciinne.

N. 13. Okrągły kapelusz z girlandką.

Na wypukłej główce kapelusika z włoskiej słomy, widzimy girlandkę z riuszy, na druciku przytwierdzoną, zakończoną z tyłu kokardą z końcami. Ubranie takie, żółte na białym, na kolorowym kapeluszu w cieniu słomy dobrze bardzo się wydaje.

N. 14. Okrągły chiński kapelusz.

Na oryginalnej formie talerzykowej, z małą wypukłością na czubku, model nasz przedstawia gustowne bardzo przybranie. Główkę ozdabiają małe paseczki czarnej aksamitki zakończone pukielkami. Na prawej stronie idzie wielka róża z paczkami, liśćmi i kółkami przy korzonku, dopełniona białymi spadającymi nierozciętymi końcami. Biała riuszka z atlasowej wstążki przytwierdza jedwabną podszewkę kapelusza, wymagającą mocnej elastyki. Bardzo dobrze wyglądają w miejsce białych wstążek, końce z czarnej aksamitki zupełnie krótkie, pod kapeluszem zaś jak u naszego modelu, drugie z wstążki, przeznaczone do wiązania na wielką kokardę.

N. 15. Okrągły kapelusz z renwersem.

Kapelusz ten dla dziewczynki do 3—4 lat, noszą także chłopcy, póki się jeszcze piastują. Wązki brzeg białego owalnego kapelusika z angielskiej słomy, poszerza się w rodzaj renwersu na lewej stronie, gdzie do lamówki aksamitnej czarnej daniej w koło, dodaje się dwie atlasowe kolorowe wypustki i dwa aksamitne ruloniki. Aksamit z atlasem w potrójne pliski układane, otaczają główkę; dwie atlasowe kokardy na przodzie stanowią agrafkę do rajskiego stojącego białego pióra i jednego strusiego w czerwonym kolorze, mocno zafrzyżowanego. Ubranie modelu jest czerwono brązowego cienia.

N. 16—17. Dwie pelerynki.

N. 16. Okrągła pelerynka. Modelik nasz z muslinu w pasy, oszywa w koło falbanką gładkiego muslinu, w rodzaju riuszki, ubrana koronką u dołu. Garnirunek ten z przodu 4 cent. szeroki, dochodzi u dołu do 6—7 cent. szerokości. Kokardy kolorowe ozdobią przód i podpięcie pleców.

N. 17. Chusteczkowa pelerynka. Przy tle jednolitem „Ecrú”, pelerynki oszytą falbanką, materiały w brązowe pasy, dany jako ubranie, bardzo ozdobnie wygląda. Ciepłe paski przystębnowane, ubierają przody. Połączenie tych dwóch materiałów, zastosowane do podwójnych spódnic, szarfy, falbanek i t. p. szczególnie się zaleca w kostiumie.

N. 18. Bluzka z garnirunkiem „Marin”.

z magazynu P. Delacroix w Paryżu. Place de la Bourse N. 4.

Model bluzki, wzięty jest od kostiumu, z jednolitego i puszystego perkalu. Na gładkiej spódnicy, udrapowana kokardami tunika w pasy na bluzkę jednolitą, przybraną falbankami podwójnymi i paskiem przystębnowanym z materiału tuniki, tworzy modne naszytą „marin”. Rodzaj marynarskiego kołnierza, formuje na ramionach wyłożenie, prostą linią z tyłu od ramienia do ramienia poprowadzone. Dwa razy naszyty pasek, dopełnia falbankę ozdobną szarfą.

N. 19 — 20. Naszyjnik z atlasowej wstążki.

Podług listeczków w naturalnej wielkości pod N. 20 podanych, układa się całość z atlasowej 1 cent. szerokiej wstążeczki, i przytwierdza na sztywnym muslinie, żeby sformować serduszko jak N. 19 przedstawia. Potrzeba na niego podwójnego kawałka muslinu 4 cent. długiego, szerokości jak na rycinie, który pokrywszy pukielkami, lekko się w środku dla nadania wypukłości podwatowywa. Węzeł

w ósemkę, 6 cent. długi, ma 3 cent. wysokości. Nawlekając serduszko, należy wstążeczkę lekko w ząb z przodu załamać, związując z tyłu na kokardę, lub jak na modelu, spinając na haftki, które kokardka pokrywa. Wstążeczka ta w atlasie, wynosi 1 1/2 do 2 cent. szerokości.

N. 21. Suknia z garnirunkiem „Watteau”.

Garnirunek ten z buff tiulowych, koronki, atlasowych ruloników, lub riuszek jedwabnych, urządza się na gładkiej jedwabnej spódnicy z trenem bez naszyć, tylko z dość bogatą szarfą. Widzieliśmy tego rodzaju przybranie, jako całą suknię, z czarnej grenadiny „Crêpe-de-Chine”, lub z jedwabnego tiulu w rzucik, noszone dla pokrycia zniszczonej trochę jedwabnej sukni. Dodawszy do tego koronkowe, kolorowe podwlekane wszywki i kokardy, ten rodzaj ubrania bardzo strojnie wygląda na popielatych i czarnych sukniach; w muslinowych białych sukniach, miejsce buff, zastępują ze względu na pranie, listwy z zakładek zupełnie płaskie. Poprzeczne pasy jak na rycinie 21 lepiej się wydają na szczupłej figurce, podługne jednak więcej używają. W lekkich materiałach, ubranie stanika, powtarza się i zastosowywa na spódnicy.

N. 22. Suknia muslinowa haftowana przybrana koronką.

z magazynu Kieffer, Boulevard des Italiens 27 Paris.

Bluzkowy stanik tej sukni z tyłu i z przodu naśladować podługne wycięcie haftowanymi i koronkowymi wszywkami przybrany, ma w wykoju szyi, w koło i na przodach, koronkową ruszkę. Haftowaną wszywkę formującą naramienniki, ubranie rękawa przy łokciu i w dole, także zakończy koronkowa riuszka. Wszywkę i koronkę, które można zastąpić wyszywanym tiulem i muslinem w zakładki, łączy zawsze przystębnowany ukos. W miejsce dziurki, można dać także przedzą wywodzony tiulik. Spódnice u biera w dole riuszą zakończoną falbaną i dwie po nad nią wszywki. Tunika gładka z przodu, z poprzeczną buffą w tyle, ma u dołu falbankę z riuszką jako nagłówek i podpięta jest na bokach patkami z haftowanych wszywek. Kolorowe kokardy nadają większą elegancję.

N. 23. Wykład jako ozdoba kosza do drobiazgów etc.

Frywolitki i ścieg sznurkowy.

Skrócenie „pod węz.” zamiast *podwójny węzeł*; „p.” zamiast *pikot*. Na wykład taki, używa się repsowej lub krótkowanej piki. Jeśli desenik górny, wyszyty sznurkowym ściegiem jest czarny lub biały z czerwonym, dzierżganie brzegów powinno być także odpowiednie gładkie. Obdzierżganie górnego brzegu piki, jak również dolnych zębów obwodzi jeszcze kolorowa stembnówka i trzy kolorowe ściegi, odznaczające się na kantach. Ząbki podwójnych węzełków u dołu, po nad pikotami, obwodzi się z osobna „roboczą nitką” wykonanych listków, z tak długą nitką do połączenia, żeby nią można listki pomienione, dokładnie po lewej stronie materiału przyszyć. Przybierając „pomocniczą nitkę”, odrabiają się następnie zewnętrzne ząbki. Liczbę pod. węz. i pikotów można rozróżnić na rycinie N. 23.; to samo da się uskutecznić z pikotami zawsze 2 pod. węzeł. rozdzielonymi przy ząbkach dolnego brzegu. Środkowe kółko przezroczystej środkowej rozety, liczy 32 pow. węz. z 8 pik. między każdą czterema podwęzełkami. Następny rząd odrabia się przybierając „pomocniczą nitkę”, — zawiera w sobie: pętelki z 10 pod. węzeł. i 1 pik. złożone, i ząbek łączący z 8 i 12 węzeł. na przemiany. Pajaczek zapełnia środkowe kółko, listeczki wyszytą gipiurą, resztę przestrzeni rozetki. Przejmując igłą każdy pod. węz. zewnętrznych ząbków rozety, przedzierzguje się rozetę białą przedzą na materiale, obwodzi ją następnie czerwono lub czarno, z rodzajem pęczków kolorowych dość znacznych. Po ukończeniu rozety, pikę się pod spodem wycina. Do deseni tego wykładu, dodajemy jeszcze dwie oddzielne rozety.

N. 24. Frywolitkowa rozetka z koronką i wyszytą gipiurą.

Środkowe kółko, stanowi 24 pod. węz. podzielonych między 8 pik. do tego dołącza się jeden pik. omijając cztery, koronkowym ściegiem zapełnione półzabki z 20 pod. węz. i 1 pik. w środku, zewnętrzne z 24 pod. węz., spaja z robótką, ścieg sznurkowy i listki wyszywanej gipiury.

N. 25. Frywolitkowa rozeta.

Środkowe kółko rozety składa się z 8 pik. rozdzielonych ciągle, 2 pod. węz. następne części wymagają przybrania „pomocniczej nitki” i robią się dwoma nitkami sposobem często już wspomnianym tak, żeby ostatnia ścigała zawsze „nitkę roboczą”. Powstają przez to półzabki, przez które przed ściąganiem, przesuwają się czółko nawinięte. Dolne półzabki składa 16 pod. węz. i 1 pik., górne 5 pod. węzeł. 5 zawsze 2 pod. węz. porozielenych pik., i znów 5 pod. węzeł. Środek i zewnętrzny brzeg rozety, przytwierdza się przedzierganiem w koło przejmującym pikoty. Prócz tego robi się parę koronkowych ściegów przymocowywujące boczne pikoty.

N. 26. Wieszadełko pod kluczyki.

Materiał: Bronzowa amerykańska cerata, żółta skórzana kanwa, 7 mosiężnych haczyków, mosiężne sztyfciki, gumma arab. w płynie. Na 20 cent. liczącym podługnym drewnianym kwadracie 1 1/2 cent. grubym, rozciąga się brązowa amerykańska cerata z tyłu szczelnie goździkami przybita, dodając haczyki do zawieszania kluczy służące. Ozdoby przy hakach i podwójne szlaki wycinają się podług wskazówek ryciny 20 z żółtej skórzanej kanwy i przyklejają gummą arabską, dla zawieszania tej tabliczki, przybijają się z boku dane kółka.

N. 27 i 29. Dwie bluzki pod szyję od 8 — 14 lat.

Krój z pomniejszoną formą: na dodatku N. III.

Fig. 11—13 S—Z.

N. 27. Bluzka muslinowa. Garnirunek bluzki, stanowią dwie osobne części muslinu w poprzeczne zakładki, zakończone listewkami i frywolitkowym brzeżkiem. Przód ozdabiają zachodzące na siebie obręby, kokardami przybrane. Wykrój szyi, otacza listewkowy garnirunek, dany także na rękawach.

N. 28. Bluzka perkalowa.

Krój na dodatku N. III. Fig. 11—13. S—Z.

Ubranie bluzki zapinaną na guziki oszytą u szyi 1 1/2 cent. szerokim paskiem, stanowią paski drukowanego perkalu obdziergane podług N. 29 podanej próbki, przedzą w kolorze deseni.

N. 30. Listewka do bluzek, ułożona z perkalu w paski lub ciągniony desenik.

N. 31—32. Płaszcz od deszczu (Impérmeable).

Krój na dodatku N. I. Fig. 1—5a A—K gwiazdki pod kropki.

Płaszcz ten zaleca się praktycznym urządzeniem festonów, które się zapinają na guziki w czasie pogodnym, kiedy zbyt długie ubranie robi tylko niedogodność, jak to zmniejszony format pokazuje. Wierzchni długi rękaw kraje się razem z przodem (fig. 1) i następnie dopełnia dolną częścią czyli spodem rękawa (fig. 4). Bok płaszcza (fig. 2), łączy się od A do B, od wykroju pachy z przodem, do dolnego brzegu zachodząc pod przód, przez co formuje szeroką kieszeń od D. do E. przypada do pelerynowych pleców, od gwiazdki zaś zachodząc pod przody, sprawia że plecy z przodami się schodzą. Dopełniający spodni rękaw otacza wykrój pachy, rękaw szeroki razem z przodami krajany, przypominający formą penioary, otrzymuje gumkę przy ręce. Długość i szerokość płaszcza oznaczona na zmniejszonej formie osobno zamieszczoną miarą, zastosowywa się do wzrostu i tuszy osoby. Miejsce kapturka zastąpić można dłuższą albo krótką modną pelerynką podpiętą z tyłu. Podług woli płaszcz może być puszczone lub ściągnięty paskiem z szarfą, przesuniętym przez zostawione otwory. Cyrkiel może być równy, lub podługny trochę w tyle, dół oszyty falbanką. Szyje się podwójnym szwem, dodając ukrytą listewkę w przodach pod dziurki i guziki.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.

T R E Ś Ć.

N. 1. Wizytowa suknia „à paniers“ z koronkowej mantylki. — N. 2. Ubranie małej dziewczynki. — N. 3. Ubranie letnie „à la paysanne“. — N. 4. Karoczek z kokardą z pukli. — N. 5. Karoczek z płaską kokardą. — N. 6. Suknia z podłużnym wycięciem. — N. 7. Kołnierzyk stojący z frywolitką barbką. — N. 8. Kołnierzyk z barbkami. — N. 9. Mankiet do N. 8. — N. 10. Serwetka do kawy. — N. 11. Letnia perkalowa suknia „à disposition“. — N. 12. Ranny letniczek „negligé“. — N. 13. Kapelusz z girlandą. — N. 14. Okrągły chiński kapelusz. — N. 15. Okrągły kapelusz z ranwersem. — N. 16. Okrągła pelerynka. — N. 17. Chusteczka pelerynka. — N. 18. Bluzka z garnirunkiem „Marin“. — N. 19. Naszyjnik ze wstążki atlasowej. — N. 20. Ułożenie listeczków do N. 19. — N. 21. Suknia z garnirunkiem „Watteau“. — N. 22. Suknia muslinowa z haftem i koronką. — N. 23. Wykład jako ozdoba kosza do drobiazgów. — N. 24. Rozetka frywolitkowa z koronką. — N. 25. Frywolitkowa rozeta. — N. 26. Wieszadło pod kluczyki. — N. 27. Bluzka muslinowa dla dziewczynki od 8—14 lat. — N. 28. Bluzka perkalowa dla dziewczynki od 8—14 lat. — N. 29. Ubranie perkalowe do bluzki N. 28. — N. 30. Listewka do bluzek. — N. 31—32. Płaszcz od deszczu „Imperméable“

N. 1 — 3. Letnie ubrania dla pań i dzieci.

z magazynu p. Cambray w Paryżu. Brd. de Strasbourg N. 12.

N. 1. Wizytowa suknia z koronkowym paniers z mantylli. Spódnice jedwabną „gris-perle“ z falbankami i bufkami z tegoż materiału, pokrywa do połowy koronkowa mantylla użyta jako „paniers“. Tył mantylki dany niby spódniczka, marszczy się w górze i podpina kokardą albo przeszywa tak, ażeby bufę formował; końce spojęne kokardami z tyłem, spadają cokolwiek do przodu. Cały ten paniers przyszywa się do paska w czarnym atlasie jak kokardy, albo w odmiennym kolorze odcinającym się dobrze od popielatego tła sukni, koronkowe szelki odpowiedniego deseni jak chustka ubierają stanik, nadając pewien rodzaj wykończenia całej tualecie. Kapelusz słomkowy ozdabiają pióra i owoce, rękawiczki popielate skórkowe jak również buciki.

N. 2. Ubranie dziewczynki. Dolna spódniczka z materiału w kratę ukośno wzięta, tunika i krótki stanik w rzucik, falbanki i szarfka w ciemnym jednolitym kolorze. Podobne ubranie „à disposition“ sprzedają tak w perkalach, batyscie i lekkich wełnianych materiałach, jak w fularach i materjach. Tunika składa się z czterech części, prosta zwyczajnie krajana na tylni i przedni bryt, zaokrąglona z boków. Włosy w tył zczesane, ozdabia u dołu kolorowa atlasowa kokardka; okrągły, płaski kapelusz ze słomy ozdabiają pióra, wstążki i kwiaty; trzewiki z serży lub skóry uzupełniają ubranie.

N. 3. Ubranie letnie „à la paysanne“. Bluzkę i spódnice z fularu „maron“ w białe pasy, pokrywa tunika z dwoma bufkami i odpowiednia staniczkiem fularowym „maron“ w jaśniejszym cieniu niżli same pasy. Tunika i stanik oszyta w koło ukosem materji ciemniejszej, upina się „à la paysanne“ tak żeby się spojęna w tyle

atłasową kokardą pięknie drapowała; na całą bierze się około 300 cent. Chustka na głowie układa się, z 50 cent, wynoszącego kwadrata z czerwonego kaszmiru, bardzo zwyczajnym sposobem; gładko na czole, pod szynionem spięta.

N. 4. Karoczek z kokardą z pukli.

Dolna część karoczka w całości skrajana, wymaga kawałka 48. cent: długiego, a 50. szerokiego; wcięcie zęba w środku dochodzi do wysokości 21. cent: dół zaokrąglony ścina się z boków żeby 25. cent: górnej szerokości obejmował. Środek, gdzie ząb jest wycięty układa się od dołu w fałdy, na wysokość 16. cent; w górze, daje się niewidocznie po jednej fałdzie 3. cent. głębokiej, oszywając w koło 3 1/2 cent: szeroką kontrafałdowaną falbanką po nad którą idzie torsadka trzema rzędami naszyta. Tak przyrządzony karoczek wpuszcza się w górze w wązki pasek materiału. W miejsce kokardy, dają się pukle z listewki 3. cent: szerokiej, ubranej torsadką, które 3 1/2. szeroki pasek podobnie przez środek torsadką naszyty dobrze przytrzymuje. Środkowy pukiel wynosi 21 1/2. cent: oba przy nim po 20. cent: a dwa boczne 12 1/2. cent: Wszystkie tak się przyszywają żeby pod paskiem były pojedyncze i nie pogrubiały figury. Trzy pukle środkowe drugiego, powinny być znacznie krótsze.

N. 5. Karoczek z płaską kokardą.

Karoczek ten N. 5 ozdobiony ukosami materiału wypustkowanymi atlasem, zakończy płaska kokarda lamowana podobnie atlasem. W krajaniu, karoczek wypada ukośny przez środek zeszyty; górny prosty brzeg wynosi 44 cent. długości, wysokość 32 cent. Dwie fałdy głębokie w górze, zmniejszają karoczek

N. 6. Suknia z podłużnym wycięciem:

z magazynu P. Billand w Paryżu, ulica św. Roch 32.

Jako nowość oglądaliśmy suknię przyrządzoną z głęboko podłużnym wycięciem, jak już je noszono. Ubranie w bufy szczególnie dobrze wygląda przy czarnych tiulowych bluzkach i lekkich gazowych sukniach. Spódnica urządzi się podobnie w bufy i riusze, albo oszywa u dołu szeroką falbaną; tunika pokrywa spódnice od góry. Zakładka konieczna przy tego rodzaju sukniach może być muslinowa haftowana, ozdobna frywolitkami, albo cała w zakładce, w koło dana jest także haftowana szlarka. Na modelu naszym prócz buff, formujących z tyłu dość szeroką burtę, idzie riusza odwrotna z materji, stanowiąca epolecik nad rękawem prosto krajany i ozdobiony u góry bufą; dół jego oszywa koronka i riusza; wody stanika przedzielają atlasowe ruloniki. Szarfka zakończająca pasek odpowiednia materji użytej na riusze.

N. 7. Kołnierzyk stojący, z frywolitką barbką.

N. 7. przedstawia kołnierzyk frywolitkowy z takimiż barbkami, odrobiony jedną nitką, które w naturalnej wielkości w przyszłym numerze podamy. Żeby deseń ułożony z zamkniętych i pikotami spojęnych kółeczków w całości mniej więcej utrzymać należy „nitkę łączącą“ dać tak długą, żeby ją można przy robocie następnego kółka, w miejscu gdzie się owe nitki schodzą, zahaczyć i tym sposobem ciągle niewidzialnie łączyć. Zaczynając od podłużnego środka dużej rozety w barbie, odrabia się 1. rząd: i 1. zamknięte kółko z 28 podw: węzeł: z 3 pikotami, mające z każdej strony jeden listek konicyny, złożony z 3 zamkniętych pikotami spojęnych pętelek, powstałych z 20 podw: węzeł: i 2 pikotów.

Prócz listków konicyny, są jeszcze pojedyncze kółka, każde z 24 podw: węzeł: i 3 pikot. Na obiedwie boczne pętelki każdej z 3 jak trójlistek wyglądających pętelek drugiego rzędu, odrabia się w równym następstwie po 10. podw: węzeł: 1 pikot, 3 podw: węzeł: 1 pik, 2 podw: węzeł: 1 pik, i 5 podwójnych węzeł: Na środkowe kółko 20 podw: węzeł: z 3 pik: (rozdzielanymi zawsze 5a podw: węzeł:) na pojedyncze zaś kółko dotykające jednej z pętelek pierwszego rzędu, robi się po 12 podw: węzeł: z 1 pikotem w środku. Rząd pętelek 3. rzędu, składa się na przemian: z 1 zamkniętej pęteli z 20 podw: węzeł: z 3 pikot: i 1 zamkniętej pęteli z 18 podw: węzeł: z 2 pikot. Ostatni rząd ma na przemian: 14 dużą pętelkę z 6 podw: węzeł: 9 zawsze 2 podw: węzeł: poprzedzielanych pikot, i znów 6 podw: węzeł: i 1 małej pęteli z 18 podw: węzeł: z 2 pikot. —

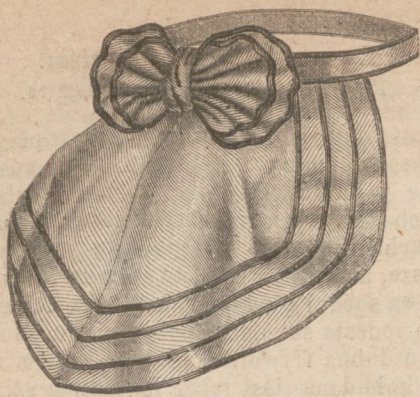
Obadwa podłużne deseni po nad rozetą, składają się z dużych i małych kółek, ostatniego rzędu, i listków konicyny, w pierwszym rzędzie opisanych. Górny brzeg barby formuje gwiazdka, powstała z 8 zamkniętych pętelek, połączonych kółkiem z 24 podw. węzeł. i 8 pik. Każda z pętelek wymaga 5 podwójnych. węzeł. 9 zawsze 2 pod. węzeł. poprzedzielanych pikotów i jeszcze 5 podw. węzeł. Kołnierzyk, którego obwód na modelu 35 cent. liczy, składa się z pojedynczych gwiazdek rozdzielanych innym deseniem. Gwiazdki te, różnią się tem tylko od świeżo opisaną, jako



N. 1. Wizytowa suknia „à paniers“ z koronkowej mantylki. N. 3. Ubranie letnie „à la paysanne“.

N. 2. Ubranie małej dziewczynki.

do 24 cent. szerokość, poczem wszywa się w pasek lamowany jak kokarda.



N. 5. Karoczek z płaską kokardą.

zakończenie barby, że każda z ostatniego z pętelek ostatniego rzędu gwiazdki, ma po 8 pik. wtenczas kiedy inne liczą tylko po 3 pik. konieczne do połączenia. Dese-
nik wspomniany między gwiazdkami, robi się w dwóch rzędach, i jest prawie powtórzeniem ostatniego rzędu rozety w barbie; ta tylko zachodzi różnica, że duża pętka w drugim rzędzie, przy 18 podw. węzeł, otrzymuje nie 9 pik. ale tylko 3 pikoty, (rozdzielane 4 podw. węzeł.) Dolny brzeg kołnierzyka, z a k o ń cza rządkiem zamkniętych pętelek z 18 podwójny. węzeł. i 3 pik. „łącząca nitka“ tychże niezahacza do następnej, ale zostaje wolna i obrabia się rządkiem szydełkowych oczek.



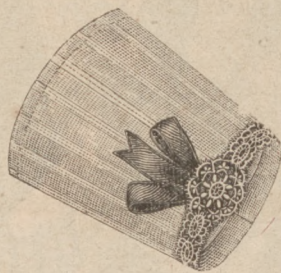
N. 7. Kołnierzyk stojący z friwolitową barbką.



N. 6. Suknia z podłużnym wycięciem.



N. 10. Serwetka do kawy.

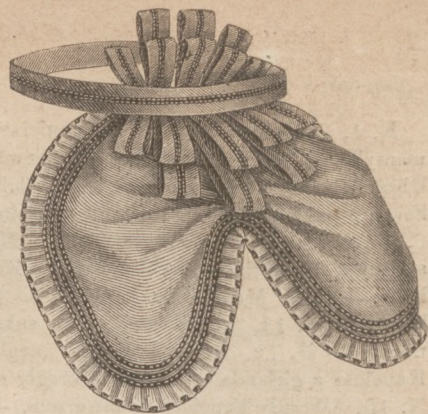


N. 9. Mankiet do N. 8.

N. 8 i 9. Stojący kołnierzyk z barbkami i mankiet.

Szydełkowa robota.

Skrócenie: „ocz:“ zamiast oczko „śc: ocz:“ zamiast ściśle oczko; „śc: łań:“ zamiast ściśle łańcuszek; „pow:“ zamiast powietrzne oczko; — „lasecz:“ zamiast laseczka; — „pół las:“ zamiast pół laseczka; „p“ zamiast pikot, złożony z 5 lub 7 pow: ocz: w których w pierwsze 1 śc: ocz: się wra-



N. 4. Karoczek z kokardą z pukli.

bia. „pod: węz:“ — zamiast podwójny węzelek; „p“ zamiast pikot. Kołnierzyk ten i mankiety z cienkiej przędzy odrobione, podwlekuje się kolorową atłasową i aksamitną wstążeczką. W następnym numerze Tygod: Mód, podamy barbkę i róg powyższego kołnierzyka w naturalnej wielkości; dziś ograniczamy się na dokładnym opisie. Najpierw odrabiają się dwa przy sobie będące kółeczka, powstałe każde z 30 ocz. złączonych w pier-



N. 8. Kołnierzyk z barbkami.

ścione; obrobiony następnie 20 pik, podzielanymi zawsze 2 śc: oczk: Środek wielkiej rozety, stanowi kółko jako pierwszy rząd; uważane, powstałe z 15 w pierścione złączonych ocz., obrobionych 24a śc: oczk: i 24 pik: Ośm ząbków drugiego rzędu z 1 śc: oczk: i 9



N. 11. Letnia perkalowa suknia „à disposition.“



N. 12. Ranuy letniczek „negligé.“

pow: złożone, obrabiają się w trzecim rzędzie zawsze 2 śc: oczk:, 4 wawsze 2, śc: oczk: poprzedzielnym pik: i znów 3 śc: oczk: Jako czwarty rząd robi się kolejno 2 lasecz:, i 8 pow: ocz: omijając zawsze dwa pik: poprzedniego rzędu. W piątym rzędzie, koło to obrabia się zawsze 3 śc: oczk:, 3 dwoma pow: ocz: poprzedzielnymi pik: i jeszcze 3 śc: oczk:. Na laseczkach wypadające listki konieczny, robi się z 6 pow: ocz:, 1 śc: ocz:, w 1 oczku poprzednim (przez co 5,

N. 13. Kapelusz z girlandą.



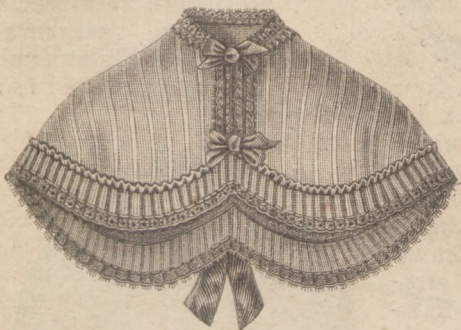
N. 14. Okrągły chiński kapelusz.

gim rzędzie, robi się tunetańskim ścięciem 3 lasecz: w każdym 1 pik: poprzedniego rzędu, oczkuje ostatnią laseczkę osobno, dwie drugie razem, odrabia następnie na zakończenie listka konieczny 9 pow: ocz: i przytwierdza w czwartym oczku powyższych dziewięciu 3 pik: odrobione jak w opisie listka konieczny przy dużej rozecie; jeszcze się robi 3 pow: i ciągle to samo powtarza, aż do wypełnienia desenniu. Gęste ząbki z pikotami na boku otaczające w koło wszystkie cztery razem połączone rozetki, robią się w dwóch

N. 15. Okrągły kapelusz z ranwersem.

rzędach; 1 rząd daje się w koło z pow. ocz: obliczonych 5 — 7 stosownie do potrzeby na każdy pojedynczy ząbek. Tu i owdzie ząbek każdy zahacza

pozostałych powi: ocz: formuje rodzaj pikota). Następnie jeszcze dwa pik: z 6u i 5u pow: ocz: obadwa połączone osobno 1 śc: ocz: które wypada zawsze w pierwszym ści: ocz: pierwszego pikota. Takim



N. 16. Okrągła pelerynka.

listkiem konieczny łączą się kółka dwa, po nad rozetą dolną będące. W następnym numerze zamieszczona rycina, uwydatnia to z wielką dokładnością. Kółko najwyższej rozetki składa się z 20 oczek złączonych w pierścione, obrobiony w pierwszym rzędzie 16 pik: w poprzedzielnymi 2a śc: oczk: w dru-



N. 17. Chusteczkowa pelerynka.

się śc: oczk: o pikot przypadającej rozety, przez co tworzy się konieczna całość; w drugim rzędzie łańcuskowe te ząbki obrabiają się ści: oczk: z pikotami po bokach. Środki rozetek otrzymują pajęczki koronkowego ścięgu. Kołnierzyk składa się z 18 małych rozetek, które już opisywaliśmy przy barbec.



N. 18. Bluzka z garnirunkiem „Marin.“



N. 19. Naszyjnik z wstążki atlasowej.



N. 20. Ułożenie listeczków do N. 19. — Wielkość naturalna.



N. 21. Suknia z garnirunkiem „Watteau.“



N. 22. Suknia muslinowa z haftem i koronką.

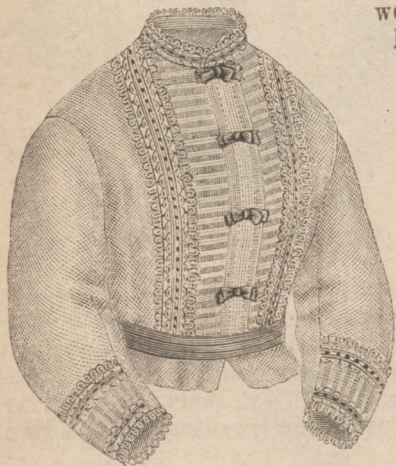
Brzeg jego otaczają ząbki pikotami ozdobne, od rozetki pierwszej aż do ostatniej w około. *Pierwszy rząd* ząbków, robi się 1 śc. ocz: i 5 powiet; obrobione w drugim rzędzie 2 śc. ocz: 3a zawsze dwoma śc. ocz. rozdzielonemi pikotami, i znów 2 śc. ocz: Wykrój szyi, zakończy się dwoma rzędami ścisłych laseczek, tworzących pasek kołnierzyka, które się robią, na podstawie 5—6 pow: ocz: i 1 laseczki wypadającej w każdym 1 pik: rozetek. Ten stosunek ciągle idzie na przemiany.

W przyszłym numerze, jak to już wzmiankowaliśmy, podamy również środek deseni mankieta odpowiedniego, w naturalnej wielkości. Robotę składa duża rozeta barbiki opisanej, mająca z każdej strony po 4y małe rozetki. W koło idą ząbki znane z pik: po bokach.



N. 23. Wykład jako ozdoba kosza do drobiazgów.

N. 10. Serwetka do kawy.



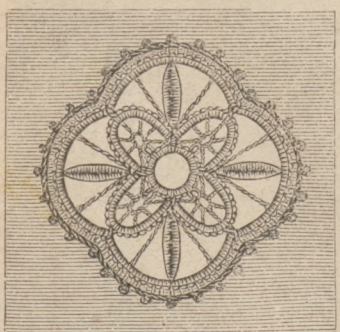
Prosta płócienna serwetka z surowego płótna, przez ozdobienie przedstawionym deseniem, staje się eleganckim przykryciem, i może zastosować

N. 27. Bluzka muslinowa dla dziewczynki od 8—14 lat. Krój z pomniejszeniem formy na dodatku N. III.

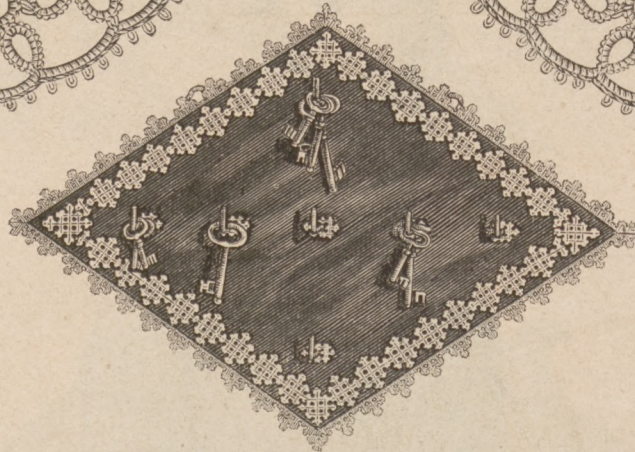
formę do stoliczka. Wyciągając nitki płótna w odpowiednich odstępach, czterema rzędami, przewłóczy się przezroczyście szlaczek podwójnie brana przędzą w tureckich kolorach, która na krzyżujących się szlaczkach związowana w supełek z poprzecznymi nitkami, tworzy



N. 30. Listewka do bluzek.



N. 24. Rozetka fiololkowa z koronką



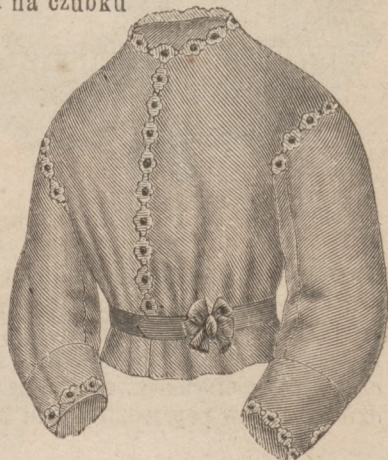
N. 26. Wieszadło pod kluczyki.



N. 31—32. Płaszcz od deszczu „Imperméable.”—Krój na dodatku N. I. Fig. 1—5a—A—K.

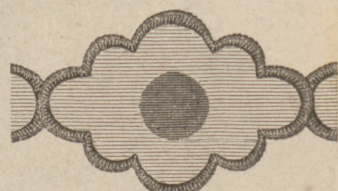
z białej słomy, ubiera na czubku

główki wielką różą, otoczona girlandą z margeritek, które razem woal przytwierdzają. Karoczek, także do sukien ubieranych wodami, riuszani etc. nadający mu pozór spacerowego kostiumu, składa się z sześciu bryczków. Tylni i przedni bryt ścięte są z boków w ten sposób, że przedni bryt licząc w środku

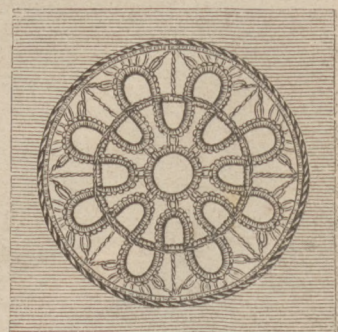


N. 28. Bluzka perkalowa dla dziewczynki od 8—14 lat.—Krój na dodatku N. III. Fig. 11—13.

46. cent: długości, u prostego brzegu w górze 32. cent: szerokości, w brzegu dolnym, ściętym dochodzi 68. cent: rozmiaru. Tylni bryt 60 cent. długi, w górze 35. cent: szeroki, u dołu 80 cent: liczyć powinien.



N. 29. Ubranie perkalowe do bluzki N. 23.



N. 25. Fiololkowa rozeta.

na rogach mięszaną z białem frendzelkę.

Biała, powstaje z wysiępywania płótna w koło i przewiązywania pewnej ilości nitek na kwaściki. Pomiędzy przezroczyściami szlaczkami znajdujące się płótno, ozdabiają krzyżyki kolorowej przędzy.

N. 11. Letnia perkalowa sukienka „à disposition” w trojaki pasy.

Dziwny ten kaprys mody, pozwala użytkować dawniejsze nawet suknie. Model nasz przedstawia spodnicę w szerokie pasy, na wierzchu idzie tunika w węższe paski, podniesiona na bokach na guziki materiałem obciągnięte. Trzecią spodniczkę osobną, formuje podobnie podpięty karoczek w węższe jeszcze paski, odpowiedni stanikowi, ozdobnemu ukośnemi przystębnowanemi listewkami. Japoński kapelus z